Nr. 45. Lwów — Piątek dnia 25 Lutego. Rok 1898.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . 6 „
Numera z poprzednich dat po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne" jakoto o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 zł. 10 ct.
w Niemczech „ 2 „ — „
w innych państwach „ 2 „ 50 „
Za zmianę adresu dopłaca się 20 ct. Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . . 10 ct.
w „Drobnych ogłoszeniach" za każde słowo tłustym petitem po . . . . . 2 „
tłustym garmondem po . . . . . . 3 „
Korespondencye prywatne za każde słowo tłustym petitem po . . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . 20 ct. | Nekrologia . . 20 ct.
Ogłoszenia do *Przeglądu* przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW" ul. Karola Ludwika l. 9.
Ogłoszenia nad przeglądem politycznym 30 ct. od wiersza.

Dziś: 24 | św. Anastazyi P. | Martynjana
Jutro: 25 | św. Wiktora z Ar. | Awksentya

Adres Redakcyi i Administracyi
Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: *LUDWIK MASŁOWSKI.*

Wschód słońca o 6 m. 58
Zachód „ „ 5 „ 31

Długość dnia g. 10 m. 33
Przybyło dnia od wczoraj 4 m.

Czas odnowić przedpłatę!

Wynosi ona na prowincyi:
Miesięcznie 1 zł. 10 ct.
Kwartalnie 3 „ 30 „
Półrocznie 6 „ 60 „
Rocznie 13 „ 20 „
Za zmianę adresu dopłaca się 20 centów.

Przegląd polityczny.

Lwów 24 lutego.

Wśród mnóstwa pogłosek, które się rodzą na warszawskim bruku, a stamtąd przechodzą do dzienników naszych i niemieckich już jako wiadomości jeśli niezupełnie pewne, to prawdopodobne, znajduje się jedna, o której z przerażeniem bębnią gazety berlińskie. Wedle tej pogłoski, książę Imeretyński zatrzymał się w Petersburgu jeszcze na tydzień dlatego, że powstał w najwyższych sferach projekt utworzenia w Królestwie Polskiem „rady przybocznej", która byłaby dla księcia organem doradczym we wszystkich kwestyach politycznych i administracyjnych, a urzędowałaby stale, jakby jakaś delegacya z łona ludności. Wprawdzie członkowie tej rady byliby wybrani przez księcia, jednakże nie z urzędników, lecz z pośród obywateli, którzy osobistą dzielnością zdobyli w społeczeństwie takie znaczenie, iż mogą uchodzić za jego przedstawicieli. Pogłoska podaje nawet taki szczegół, że prezesem owej „rady przybocznej" będzie profesor Holewiński. My oczywiście nie przywiązujemy żadnej wartości do tej brukowej nowinki, którą stawiamy w jednym rzędzie z zapewnieniami sfer biurokratyczno-rosyjskich, jakoby ks. Imeretyński już nie wrócił do Warszawy, ponieważ jego pojednawczą politykę uznano za zbyteczną. Umyślnie postawiliśmy obok te dwie wbrew przeciwne pogłoski dla pokazania, jak jest rozległa ich skala: na jednym jej końcu wysoki stopień optymizmu, na drugim — mrożący pessymizm. Środek wypełniają wiadomości dość pewne, bo podane przez poważne pisma, o rozszerzeniu wykładów języka polskiego na wszystkie klasy gimnazyalne, o przewidywanem zaprowadzeniu [illegible] szkolnych nawet po godzinach [illegible] danie w całem Królestwie gubernialnych towarzystw rolniczych, o przygotowaniach do wprowadzenia za dziesięć miesięcy samorządu miejskiego, o [illegible] do [illegible] rządu [illegible] wybierały radę i burmistrza, podczas gdy dziś rządzą bez rad mianowani przez gubernatorów burmistrze ze sfery czynowniczej. Te zmiany są prawdopodobne i w tym kierunku zapewne [illegible] gdyby [illegible] w [illegible] przy [illegible] dnia [illegible] myśl zasad Hurki i Apuchtina, a tylko przybrały łagodniejsze formy, to przed kilku dniami nie pojawiłby się ukaz cesarski [illegible] miej[illegible] „rady przybocznej" w Warszawie, jako instytucyi stałej, byłoby [illegible] w mechanizmie rządu rosyjskiego. Więc nie to nas zastanawia [illegible] do których ona dała powód prasie berlińskiej; przerażenie hakatystów jest godne uwagi, jako jeszcze jedna wskazówka, że system Hurki i Apuchtina był korzystny tylko dla Prus.

Przewidujący przyszłość rząd rosyjski postanowił zdobyć życzliwość wszystkich Polaków, aby mieć ich po swojej stronie wtedy, gdy się rozpoczną wielkie zawikłania, — oto jest orzeczenie berlińskich dzienników. Skąd nadejdą te wielkie zawikłania, co je wywoła? — o tem prasa niemiecka różnie sądzi. *Post* cytuje z jakiejś broszury pani Nowikowowej, znanej damy politycznej i powiernicy Gladstone'a, następujące zdanie: „Rosya oddawna spełnia w Europie wielką misyę. Mikołaj I nazwany był sędzią monarchów, Aleksander II zdobył tytuł Oswobodziciela chrześcijan, Aleksander III pozyskał wspaniały przydomek stróża pokoju, a teraźniejszy cesarz będzie lekarzem narodów. Wielka przed nim praca, albowiem chory człowiek nad Bosforem musi skonać, chodzi więc o zachowanie życia jego zbolałym narodom. Ale to niewszystko: chora pani austryacka zapada coraz niebezpieczniej — lekarz musi o tem pamiętać..." W tych słowach, zdaniem *Post*, jest klucz do „zagadkowego" zwrotu, jaki odbywa się w stosunkach polsko-rosyjskich. „Ale — dodaje to pismo — chora pani austryacka, to już nie Kreta, która dla nas nie warta ani jednego pomorskiego grenadyera". *Berl. Polit. Nachr.* zastanawiają się nad słowami jenerała Pellieux, wyrzeczonemi przed trybunałem w procesie Zoli: „Niebezpieczeństwo wojny jest bliższe, niż przypuszczacie: nie osłabiajcie zaufania do wodzów armii!" Tych słów nie należy lekceważyć, powiadają *B. Polit. Nachr.*, bo wprawdzie „sądząc z nowych kierunków w wewnętrznej polityce rosyjskiej, chmura nadciągnie ze wschodu, ale wówczas i zachód nasz nie będzie czysty." *National Ztg.* przyznaje słuszność posłowi Szmuli, który w parlamencie rzekł, że odraza do Niemiec wprawdzie nie objawia się teraz w Rosyi tak hałaśliwie, jak za poprzedniego panowania, ale za to ogromnie się pogłębiła, — i tu donosi ów dziennik, że się w Rosyi tworzy stowarzyszenie opieki nad wygasającymi Serbami nadłabskimi i Pomorzanami, co dowodzi, że są w Rosyi prądy agresywne.

Tak tedy pogłoska, że w Warszawie ma powstać „rada przyboczna", jako wyraz gruntownej zmiany w postępowaniu rządu rosyjskiego z Polakami, napędziła strachu na publicystów pruskich. To jest jedyna wartość tej pogłoski.

Wczorajszy telegram z Paryża doniósł, że w tamtejszych sferach rządowych nie przy[illegible] obaw o pokój z powodu spraw afrykańskich. Wojna nie wybuchnie — głosi ten telegram, — ponieważ Francya jest usposobiona pokojowo, a o tem, że już nastąpiła potyczka między wojskami angielskimi a francuskimi, w Paryżu nic nie wiadomo. Musimy wytłómaczyć ten niespodziewany telegram. W Paryżu obraduje teraz anglo-francuska konferencya, której zadaniem wytknąć na mapie granice między sferami wpływów angielskich i francuskich gdzieś w głębi zachodniej Afryki, w okolicach Nigru. Te strony nie są jeszcze zajęte przez żadne mocarstwo europejskie, nie są nawet znane; mapę ich sporządzono trochę na podstawie opowiadań Arabów, trochę na domysł. Ale ku tym stronom zapuszczają się coraz głębiej Francuzi z północy i zachodu, Anglicy zaś z południa. Ci ostatni zajęli teraz jakieś krainy Haussa i Fullah, a oprócz tego rząd angielski wziął w swój bezpośredni zarząd obszary handlowej kompanii Nigru i ma z nich utworzyć osobną kolonię. Granice tych obszarów, jak również granice Haussy i Fullahu nie są znane, wiadomo tylko, że dochodzą one do Nigru. Jednocześnie Francya wysłała w te okolice ekspedycyę wojenno-naukową, to jest taką, która ma rozciągnąć francuski protektorat nad sułtaństwem Sokoto i zarazem porobić mapy. Otóż w Anglii i we Francyi zaczęto się wzajemnie podejrzywać o to, że każde z tych państw chce stworzyć t. zw. „czyn dokonany", zanim konferencya paryska coś postanowi, a ponieważ nikt dobrze nie wie, gdzie się znajdują owe Haussy i Fullahy, przeto powstało przypuszczenie, że ekspedycya francuska może wpaść na ochotnicze oddziały kompanii Nigru, wzięte już pod nadzór rządu angielskiego. Z przypuszczenia urosła pogłoska o potyczce. Londyńskie dzienniki *Pall-Mall-Gazette* i *St. James-Gazette* podały telegramy o stoczonej bitwie. *Manchester Guardian* (organ ministra kolonii Chamberlaine'a) wystąpił ostro przeciw Francyi, wzywając Salisbury'ego, aby się nie wzdrygał przed wojną. *Times* zaczął usilnie nawoływać do porozumienia. *Westminster Gazette* jęła uspokajać publiczność dowodami, że Francya, zawichrzona dreyfussadą tak, że jest może w przededniu jakiegoś przewrotu, nie może myśleć o wojnie. Słowem, w Londynie rozprawiano tak, jak gdyby wojna już wisiała na włosku. Otóż to zaniepokojenie uśmierzył wczorajszy telegram z Paryża.

Wiadomo, że cesarz rosyjski wezwał do siebie z Berlina byłego niemieckiego ambasadora w Petersburgu, a przyjaciela rodziny cesarskiej jenerała Werdera. W parę dni potem cesarz Wilhelm, bez żadnej świty, przybył do rosyjskiego ambasadora hr. Osten-Sackena i konferował z nim sam na sam przeszło godzinę. Z tych dwóch faktów zrodziła się pogłoska, że chodzi o kandydaturę ks. Jerzego na hegemona Krety i że między Niemcami a Rosyą pośredniczy jenerał Werder. Podobno tę kandydaturę zaproponuje mocarstwom cesarz Wilhelm, jako jedyne wyjście z kreteńskiego kłopotu, a przytem wyjście bynajmniej nie tak złe, jak się zdawało wtedy, gdy je zaproponowała Rosya — nie mocarstwom, lecz sułtanowi. Z Konstantynopola donoszą, że na rozkaz Porty zwrócił się turecki ambasador w Petersburgu z zapytaniem do rządu rosyjskiego, czy sprawę kandydatury ks. Jerzego można uważać za porzuconą na zawsze, a na to mu odpowiedziano, że z tem zapytaniem niech się Porta zwróci do mocarstw, przez co dano do zrozumienia, iż kwestya kandydatury ks. Jerzego jest rozpatrywana przez mocarstwa, zatem porzuconą nie jest. W związku z tą sprawą jest wiadomość, nie wiemy o ile pewna, że Austrya odwołuje z Krety swą załogę i swoje okręty.

Speaker.

Piszą nam z Wiednia, 22 lutego:

Ze względu na bliskie otwarcie trzeciej, daj Boże, pomyślniejszej sesyi wybranej w roku zeszłym nowej Izby poselskiej i różne kwestye regulaminowe, które niewątpliwie pojawią się znowu na porządku dziennym, choć może w sposób mniej jaskrawy, — warto przypatrzeć się nieco bliżej roli, jaką odgrywa marszałek najstarszego parlamentu — angielskiego. Używa on tytułu „mówcy parlamentu", *speakera* i od dawnych czasów otoczony jest powagą, która czasem wygląda na anachronizm, ale swym symbolizmem odźwierciedla dokładnie zmysł historyczny narodu angielskiego, jego niezachwiany szacunek dla tradycyi.

I tak nie tylko przy otwarciu nowej sesyi, lecz na każde posiedzenie parlamentu speaker przybywa w uroczystym pochodzie. Przed nim kroczy Sergeant at arms w starożytnym stroju dworskim, ze szpadą u boku, z złocistem berłem parlamentu na ramieniu. Za nim postępuje speaker o potężnej, spadającej na ramiona peruce, w czarnych, obcisłych pantalonach, jedwabnych pończochach, trzewikach, o białych koronkach u rękawów, w czarno-jedwabnym, długim płaszczu, którego ogon niesie paź; za nim wchodzi kapelan z książką do nabożeństwa pod pachą. Kilkunastu urzędników w starożytnych strojach otacza ich. Za wejściem speakera do sali obrad, wszyscy posłowie powstają z miejsc i zdejmują kapelusze. Przy wypróżnionych galeryach i zamkniętych drzwiach odbywa się codzienna modlitwa. Kapelan odczytuje modlitwę za królowę, rodzinę królewską i parlament. Następnie speaker po trzykrotnym niskim ukłonie przed posłami i swym tronem, zasiada na swem miejscu, kapelan zaś opuszcza salę ustępując w tył według ceremoniału dworskiego.

Wpływ i potęga *speakera* znacznie przewyższają kompetencyę prezydentów innych parlamentów. Właściwie jest on samowładcą w obrębie Izby, reprezentuje ją wobec korony i ludu. Podczas obrad wszystko zależy od jego decyzyi. Jeżeli wykluczenie posła, zakłócającego obrady, uważa jako nakazane, nie powstaje żadna dyskusya, lecz tylko głosowanie „tak" czy „nie", a uchwała zapada zawsze według życzenia prezydenta. W przeciwnym razie usunąłby się natychmiast. Wybór *speakera* dokonywa się odmiennie od innych parlamentów, w sposób następujący: Jeden z posłów do stojącego przed stołem Izby urzędnika zwraca się wyrażając życzenie, aby ten lub ów członek zasiadł na krześle *speakera*. Wniosek ten zwykle popiera jeden z wpływowych posłów, najczęściej tak zwany *leader* większości. Jeżeli Izba zgadza się na wybór dezygnowanego kandydata, dwaj posłowie, którzy go zaproponowali, względnie zalecali, wprowadzają go na krzesło prezydenta. Jeżeli zaproponowano więcej kandydatów, odbywa się dyskusya o ich kwalifikacyach, poczem nastaje wybór za pomocą głosowania. Wybrany wygłasza mówkę dziękczynną, na którą jeden z posłów odpowiada powinszowaniami.

Speaker bywa wybierany na całą kadencyę parlamentarną, staje się organem Izby: „mouth of the house" (ustami Izby). W dzień po swym wyborze, na uwiadomienie, przyniesione przez tak zwanego kawalera czarnej laski, „the gentelman usher of the black rod", który to urząd spełnia zwykle starszy, wysłużony oficer, speaker z posłami udaje się do Izby lordów i oznajmia im swój wybór, poczem najwyższy kanclerz w imieniu królowej potwierdza wybór. W podobny sposób speaker przenosi się do Izby lordów, aby tam z ust komisarzy królowej dowiedzieć się o losie uchwalonych ustaw. Prawie zawsze odzywa się tradycyjne „la reyne le veult." (królowa pragnie tego). Czasem, gdy chodzi o petycyę prywatnego stowarzyszenia, odpowiedź brzmi: „soit fait comme il est desiré" (niech się stanie, jak jest żądanem), albo, gdy Izba uchwaliła apanaż dla członka rodziny panującej: „la reyne remercie ses bons sujets, accepte leur benevolence, et ainsi le veult." (Królowa dziękuje swym dobrym poddanym, akceptuje ich dobre chęci, i taka jest jej wola). Angielski język rozlega się we wszystkich częściach świata, ale królowa angielska zawsze jeszcze odzywa się do parlamentu w francuskich formułkach pierwszych władzców normandzkich. Na odrzucenie billu (projektu ustawy) służy formułka: „La reyne s'advisera", — królowa się namyśli. Od r. 1707 żaden z królów angielskich nie użył tej formułki!

Nie zaniedbano niczego, aby podnieść jak najwyżej godność *speakera*. Już za panowania Wilhelma III otrzymał on tytuł „pierwszego posła" — *First Commoner* państwa. Jako takiemu u dworu przysługuje mu pierwszeństwo przed najpotężniejszym ministrem, jeżeli tenże nie jest członkiem Izby lordów. Zupełne poddanie się pod wyroki *speakera* wymaga powszechnej ufności w jego niezachwianą sprawiedliwość i bezstronność. Aby obudzić to zaufanie, stanowisko *speakera* uwolniono od wszelkiej zawisłości od losu stronnictw. Raz wybrany, bez względu na zmianę większości bywa zawsze wybierany ponownie. Od 60 lat Izba poselska nie odstąpiła od tej reguły. W bieżącem stuleciu było tylko 11 marszałków Izby poselskiej. Pensya jego, prócz pomieszkania w pałacu parlamentarnym, wynosi 75.000 złr., nie licząc 2 wiader wina czerwonego i dwóch sztuk zwierzyny, których mu dostarczają państwo i burmistrz Londynu, tudzież kawału czarnego sukna, którem go obdarza na gwiazdkę cech sukienników. Po kilkunastu latach opuszcza swe stanowisko z pensyą 48000 złr. i tytułem viscounta (wicehrabiego). Warto więc spełniać ten urząd według najlepszych sił.

Najwięcej działa tradycya, otaczająca krzesło speakera. W ciągu wielu stuleci długi szereg wybitnych mężów ustalił te dwie zasady: speaker nie zna ani stronnictwa, ani polityki; kto przyjął godność speakera, nie przyjmie już żadnej innej. Mniejsza o to, do którego stronnictwa należał przed swym wyborem. Od chwili, gdy zasiądzie na krześle speakera, nie wygłasza żadnego politycznego zdania, ani w sali obrad, ani po za parlamentem. Dlatego to podczas wyborów jego okręg wyborczy jest uważany jako teren neutralny, do którego nie śmie wtargnąć żaden przeciwkandydat. Przedostatni speaker, teraźniejszy viscount Artur Wellesley Peel, jako członek stronnictwa liberalnego, zasiadł na krześle prezydenta krótko przed rozbiciem się tego stronnictwa wskutek pierwszego bilu irlandzkiego Gladstona. Przez dziesięć lat projekt ten roznamiętniał parlament, ale nikt nie mógł dociec co o nim myśli speaker Peel? I dzisiaj nikt tego nie wie. Bo tradycya tak wydoskonaliła bezstronność speakera, że także ustąpiwszy z tej godności, powinien milczeć o kwestyach politycznych. Może się zrzec swego urzędu, ale nie może naruszyć najważniejszej jego zasady: „speaker należy do całej Izby."

Teoryę czysto konstytucyjnego tronu zastosowano najściślej do urzędu speakera, — tego „króla Izby poselskiej"

Sytuacya.

Jeszcze nie wiadomo na pewno, czy debata adresowa w Sejmie czeskim odbędzie się czy nie. *Politik* we wczorajszym artykule wzywa marszałka, ażeby zaręczył słowem honoru, że debata ta odbędzie się i grozi, że na wypadek, gdyby rząd chciał po uchwaleniu budżetu zamknąć sesyę i w ten sposób udaremnić debatę adresową, młodoczesi wspólnie ze szlachtą czeską potrafią sobie znaleść satysfakcyę w parlamencie wiedeńskim. Zarazem nawołuje *Politik* gorąco do utrzymania zawsze ściślej łączności między młodoczechami a szlachtą czeską, gdyż potrzebna jest ona do rozstrzygającej walki w Radzie państwa, a walka ta może przybrać charakter katastrofy. Debata budżetowa rozpocząć ma się dzisiaj. Preliminarz krajowy zamyka się znacznym niedo-

---

Dzieje małżeńskie

POWIEŚĆ

przez

S. PILECKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Ale tu urwał biedny Tadeusz i nagle znów, zakrywszy twarz w dłonie, wybuchnął okropnym płaczem. Zerwałem się do niego, wziąłem go, jak dziecko w objęcia, tuliłem do serca, łzy moje z jego łzami mięszałem.

Uspokoił się wreszcie, ale znowu rysy mu [illegible], nie usiadł już, chodził po salonie, trochę utykając na prawą nogę i tak dalej ciągnął z zapałem.

— Głupi, głupi ten człowiek! nie wie, po co żyje, dlaczego żyje, po co umiera, wie jednak, że wszystko się kończy, że wszystko mija, przechodzi, mija i on i drogie mu istoty, wszystko umiera. A jednak kocha tych, co go otaczają, pragnie, pożąda, walczy, cierpi, niepomny, że temu wszystkiemu będzie koniec, koniec napewno. Czy życie przyszłe jest, czy nie, to wszystko jedno, na tej ziemi kończy się wszystko, co tu odczuwamy, jeżeli przyszłe życie jest, to tam będziemy czuli inaczej, pojmowali inaczej, więc co tu istnieje, jest sekundą tylko. Widzisz mnie czasem spokojnym, bo tylko już jednej rzeczy pożądam — końca, jednak czasem nie mam siły powstrzymać żalów.

Pochodził czas jakiś milczący i ciągnął dalej:

— Otóż mówiłem ci, że się Terenia niezmiernie zdziwiła tym moim wykrętem, popatrzyła na mnie z niedowierzaniem, ale wnet przybrała naturalną postawę, — i zaczęła się krzątać w swym pokoju, jak gdyby nic nie zaszło. Nazajutrz tylko zniknęła jej wesołość i dziecinna swoboda. Zamyślała się nieraz, patrząc uparcie w jeden punkt, jakieś cienie przechodziły jej po twarzy, długie rzęsy zasłaniały te małe oczki, a ja się w głębi serca cieszyłem niezmiernie, że już przestała grać komedyę, że ją niepokój ogarnął, że ze strachem myśli o tem, iż winy swojej ukryć nie zdoła. Trwało tak tydzień; Terenia wzięła się do gospodarstwa ochoczej niż zwykle, malowała znowu akwarelą, czasem wołała mnie, bym podziwiał różne, wywołane pendzlem, efekty. Był rzeczywiście pewien postęp w tym dyletanckim talencie, ale ja widziałem tylko jej chęć zbliżenia się do mnie, dla oszukania mnie, dla przyciągnięcia do siebie i dla zatarcia swej zbrodni. Trzymałem się mocno, czasem zaś patrzyłem na nią z uśmiechem pogardy, a przynajmniej wyższości, że niedam się wywieść w pole. Wreszcie dostrzegłem całą nienormalność naszego wstrzemięźliwego stosunku, i rad byłem, że mnie interesa wzywały na dwa tygodnie do Witebska i Wilna. W wigilię mego odjazdu przyszła Terenia do mnie do mego pokoju, pokręciła się to tu, to tam i zagadnęła mnie wreszcie.

— Tadziu, czy ty masz co przeciw mnie?

— Ale bynajmniej, moja droga, — rzekłem, powstając z fotelu z miną obojętną. W duszy jednak wszystko mi zawrzało, bo poczułem pierwszy atak. — Baczność! zaraz się zdradzi! — mówiłem do siebie. — Dlaczego tak myślisz? — dodałem głośno.

— Bo jesteś taki.. dziwny! — mówiła, kręcąc główką.

— Może jestem trochę niezdrów, — odrzekłem obojętnie, — coś mi ta głupia zraniona noga zaczyna dolegać.

— Och, że głupia ta noga, to prawda, — rzekła dosyć żywo. — Ale cóż cię tam boli?

— Jakiś nerw mnie rwie, prawdopodobnie *ischias*, — rzekłem, pocierając nogę.

— Więc na pewno nic nie masz przeciw mnie? — zapytała znowu.

— Napewno, moje dziecko, — odrzekłem.

— Jeżeli tak, to pocałuj mnie! — zawołała.

Pocałowałem ją dosyć chłodno, bo mi zaraz jasnem się stało, że tym pocałunkiem chce mi zmysły oplątać i pójść dalej, zdobyć mnie na nowo i na wypadek jakichś narodzin pozostawić mnie w niepewności. Na ten mój pocałunek, odwróciła się szybko, jak mi się zdawało, ze wstrętem, dostrzegłem tylko, że łza wymknęła się z jednego oczka. W okamgnieniu nie było jej w pokoju. Wyjechałem nazajutrz, spędziłem dni kilka w Witebsku, gdzie byłem sędzią przysięgłym, i błogosławiłem losy, że mnie wybrano właśnie w tym czasie. Potem podążyłem do Wilna gdzie znów spotkałem się z Gonwidową. Odrazu uprzedziłem ją, że o moich uczuciach słowa nie pisnę, prosiłem jej tylko, by mi pozwoliła na siebie patrzeć, rozmawiać z sobą. Zgodziła się wreszcie mnie widywać. I miałem tu dzień po dniu rozkoszne zachwyty, czerpałem w jej rozmowie duchowy spokój. W jej towarzystwie zapomniałem nawet o moich nowych podejrzeniach co do Tereni. Wreszcie po trzech tygodniach wracałem do domu. Terenia przyjęła mnie pochmurnie, jak nigdy, zimna i obojętna, jak głaz. Aha! po wszystkiem, myślałem sobie. Już minął miesiąc, już nic ukryć się nie da, dlatego tak szczerze odkrywasz grę. Nienawidziłaś mnie i nienawidzisz, próbowałaś odegrać komedyę, lecz nie dałem się złowić, teraz biada tobie! I, chodząc po swoim pokoju, odgrywałem w wyobraźni całą scenę, która miała między nami nastąpić. Przyciskałem ją do muru, ona rzucała się do mnie, jak żmija, żeby mnie ukąsić, wreszcie odsyłałem ją z hańbą do matki, precz od tych moich dzieci, których wychowywać niegodna.

Tadeusz wciąż chodził z coraz większym trudem, coraz więcej się garbił, pocierał prawą nogę i wreszcie wyszedł, uprzedziwszy mnie, że za kwadrans powróci.

Słyszałem, jak przechodząc, wołał na lokaja, a ja niebawem zwróciłem swe kroki do ogrodu.

Ale jakież było moje zdziwienie, gdy wszedłszy do cienistej alei spostrzegłem dwie córki Tadeusza z guwernantką, a nieopodal siedzącą mamkę z małem dzieckiem.

Dziewczynki powitały mnie dosyć wesoło, bo wzięły snać żywość po matce i zaraz mnie ciągnęły za sobą.

A Edzia wujaszek nie widział? — pytała młodsza.

Edzio, Edzio, myślałem sobie, ja o tym Edziu nic nie wiem nawet, i nie wiem czyj jest ten Edzio, ale przed dziećmi nie mogłem pokazać mej niewiadomości.

— Pokażcie mi swego braciszka, — rzekłem do dzieci, nie wiedząc nawet, czy to ich braciszek.

Podprowadziły mnie do dziecka, prosząc, bym był ostrożny i nie zbudził maleństwa.

— Ileż on ma miesięcy? — pytałem.

— Urodził się 1 marca, — odrzekły obie, — a w dwa tygodnie potem mamusia umarła.

Już dalej nie wiem, co z dziećmi mówiłem, bo mi zaraz jasno przedstawił się cały dramat. Umarła, myślałem sobie, może umarła ze wstydu i rozpaczy ta biedna lekka kobietka, a on jej teraz przebaczył, zemstę mu Bóg z dłoni wyrwał, a Tadeusz dziecko przyjął za swoje, nie chcąc pośmiertną hańbą imienia matki okrywać.

— *Sunt lacrimae rerum!* — myślałem sobie, chodząc z dziećmi po parku.

Ale niebawem ukazał się Tadeusz, znowu rześwy i uśmiechnięty, a odprawiwszy córki do guwernantki, poszedł ze mną głębiej w park, aż do jeziora, i ciągnął dalej:

— W obec wyraźnego złego humoru Tereni, boczyłem się i ja też wytrwale, ale wreszcie po kilku dniach, gdym wszedł do niej za jakimś interesem domowym i zostałem bardziej szorstko, niż kiedykolwiek przyjęty, zapytałem wreszcie ostro i szyderskim tonem:

— Cóż to te humory i dąsy, Tereniu?

— A cóż to cię obchodzi? — spytała, marszcząc brwi i podchodząc do mnie z wyzywającym tonem.

— Póki jeszcze razem mieszkamy — rzekłem — to przynajmniej nie chcę narażać się na twoje impertynencye przed służbą.

— Cóż to znaczy? póki... jeszcze... razem.. mieszkamy..., — cedziła Terenia, — czy może już nawet chcesz mnie ze swego domu wypędzić?

Nie odpowiedziałem jej nic, a ona upadła na szezlong i, płacząc głośno, wołała:

— Cóżem ci zrobiła takiego? cóżem ci zawiniła, że mnie tak nienawidzisz!

Tyle prawdy było w tym biednym jej głosie, żem stanął oniemiały.

— Nie rozumiem cię, Tereniu, — rzekłem wreszcie spokojniej, — to *ja* cię nienawidzę?

— A, czyż nie zanadto dajesz tego dowodów, od mego powrotu szczególniej? Cóżem ci zrobiła! Powiedz raz wreszcie, nie dręcz mnie. Może jesteś zły, żem znowu była w Warszawie? To trzeba mi było powiedzieć. Owszem, przyjąłeś moją prośbę z dobrym uśmiechem. Ja, wdzięczna ci za to, wracam wcześniej, niż zamierzałam, cieszę się, jak nigdy, że cię zobaczę, obiecuję sobie być z tobą lepsza, niż kiedykolwiek, ty zaś przyjmujesz mnie chłodno, urządzasz zaraz komedyę ze spaniem oddzielnem, wyjeżdżasz gdzieś, Bóg wie po co i siedzisz prawie miesiąc, wracasz wreszcie jeszcze obojętniejszy, niż przedtem.

— Przyznaję ci, Edwardzie, że mnie odrazu uderzyła logiką swych słów. Bo cóż ja za fakty miałem przeciw niej? Moją wyobraźnię tylko. Milczałem więc, a ona ciągnęła dalej:

— Z początku dręczyłeś mnie za każdą moją chęć zabawy, potem dokuczałeś mi zazdrością, zakradałeś się w wagonie, żeby mnie schwytać na gorącym uczynku, awanturę mi zrobiłeś o Sierpskiego, pojedynkowałeś się ze Zbąskim bez żadnej racyi, rzucając tem podejrzenia na mnie; teraz raptem zrobiłeś się zimny, obojętny, nie powiesz mi nigdy dobrego słowa, postępujesz ze mną, jak z wrogiem..

(Ciąg dalszy nastąpi)

borem, wynoszącym kilkanaście milionów, dla tego komisya proponuje nietylko podwyższenie dodatków krajowych, ale nadto zaciągnięcie pożyczki w sumie 4 milionów

Antysemicki *Deutsches Volksblatt* naigrawa się z taktyki Niemców czeskich i pisze, że jeżeli projekt adresu czeskiego jest istotnie czemś tak potwornem, jak to ich organy przedstawiają, w takim razie posłowie niemieccy powinni postawić za warunek swego udziału w debacie budżetowej to, ażeby adres wcale nie przyszedł pod obrady, jeżeli zaś ten adres nie jest tak niebezpiecznym, w takim razie groźba abstynencyi jest lichą komedyą. Zdaniem tego pisma taktyka Niemców czeskich jest albo śmieszną i głupią, albo ukartowaną na spółkę z rządem.

Sejm górno-austryacki debatował wczoraj nad wnioskami w sprawie reformy wyborczej. Mniejszość komisyi domagała się, aby bezzwłocznie rozpocząć narady nad wprowadzeniem bezpośrednich wyborów w kuryi gmin wiejskich, i nad utworzeniem piątej kuryi, sejm jednak odrzucił to żądanie i przekazał sprawę Wydziałowi krajowemu z poleceniem, aby na następnej sesyi przedłożył swe wnioski. Pomimo opozycyi liberałów niemieckich przyjął sejm wniosek p. Ebenhocha, wzywający rząd do rozszerzenia kompetencyi sejmów krajowych. Imieniem liberałów zarzucił p. Jaeger, że wszelkie rozszerzenie kompetencyi sejmów naruszyłoby konstytucyę grudniową, wzmogłoby aspiracye słowiańskie i rozwałkowało państwo. P. Ebenhoch zbijał te zarzuty, dowodząc, że rozszerzenie tyczyć się ma tylko spraw ekonomicznych i wyjdzie ludności na pożytek, że zresztą w ostatniej mowie tronowej uznano potrzebę rozszerzenia kompetencyi sejmów.

W sejmie dolno-austryackim przyszło wczoraj do burzliwych scen między większością antysemicką a liberałami i t. zw. politykami socyalnymi. Na poprzedniem posiedzeniu bowiem wyraził się p. Schneider obelżywie o urządzanych od kilku lat ludowych kursach uniwersyteckich i zarzucał, że kursa te mają na celu jedynie krzewienie bezwyznaniowości między niższemi warstwami, że nie przynoszą najmniejszego pożytku i t. p. Owóż poseł Filipovich, należący do grupy socyalnych polityków i będący profesorem uniwersytetu, postawił wczoraj wniosek, aby sejm wyraził p. Schneidrewi naganę za to jego wystąpienie przeciw uniwersytetom ludowym. Gdy p. Filipovich motywując swój wniosek, rzekł, że w sejmie dolno-austryackim panuje obecnie ton karczemny, zerwała się wielka wrzawa. Antysemici wołali: „Precz z żydami! Precz ze wspólnikami Zoli!“ — Wniosek p. Filipovicha odrzucono. — Następnie marszałek zwrócił się do posłów z prośbą, ażeby w swych przemówieniach ograniczali się jedynie do niezbędnych rzeczy, gdyż sesya sejmowa nie potrwa już długo.

Do dzienników wiedeńskich donoszą z Pesztu, że pierwszą czynnością Rady państwa po jej zebraniu się, będzie wybór delegacyi, które w pierwszej połowie kwietnia rozpoczną swe obrady w Peszcie. Cesarz podczas sesyi delegacyjnej przebywać będzie również w Peszcie, gdzie w tym czasie obchodzony będzie uroczyście jubileusz konstytucyi węgierskiej z r. 1848. W rocznicę sankcyonowania tej konstytucyi, przypadającej na poniedziałek Wielkanocny odbyć się ma uroczyste posiedzenie Sejmu węgierskiego, poczem Cesarz przyjmować będzie deputacye wszystkich komitatów.

Znamienny artykuł o wewnętrzej sytuacyi w Austryi zamieszcza półurzędowy organ *Nemzet* p. t. „Dokąd? Na jak długo?“ W artykule tym pisze ten dziennik węgierski, że w Sejmie czeskim rostrzygnie się los rządów br. Gautscha. Jeżeli bowiem ani Niemcy, ani Czesi nie zejdą ze swego nieprzejednanego stanowiska i jedni lub drudzy zaprowadzą obstrukcyę w Radzie państwa, w takim razie rząd teraźniejszy znajdzie się w położeniu bez wyjścia. Mimo to atoli nie należy uprzedzać wypadków i przedwczesnemi są przepowiednie, że stanowisko Gautscha jest już zachwiane, a że hr. Thun zajmie jego miejsce. Za krótko jeszcze stoi br. Gautsch na czele rządu, aby już mógł przywrócić naturalny bieg maszyny państwowej. Być może, że po cichu przygotował on już pewne środki, a w Austryi, jak w ogóle wszędzie, gdzie zanosi się na krytyczne chwile, — ostateczne rozstrzygnięcie zależy od pewnych zamiarów w cichości przytowywanych.

Bądź co bądź czas nagli. Ostateczny termin zawarcia ugody z Węgrami już blisko, a w Austryi nie ma żadnej władzy prawodawczej. Takie anarchiczne stosunki niszczą siłę Austryi i osłabiają jej powagę na zewnątrz. Węgry mogą jeszcze zaczekać, ale długo nie może to już trwać.

Sprawy sejmowe.

Przerwa trzygodzinna zarządzona przez Marszałka na ostatniem posiedzeniu Sejmu po załatwieniu zaledwie trzech drobnych spraw z porządku dziennego wywołana została następującą okolicznością: Czwartym z kolei punktem porządku dziennego było sprawozdanie komisyi administracyjnej o wniosku p. Wachnianina co do wydania ustawy językowej. Komisya, jak wiadomo, zaproponowała uchwalenie rezulucyi, wzywającej rząd ażeby i nadal przestrzegał istniejących przepisów językowych zwłaszcza wobec nowej procedury cywilnej i reformy podatkowej. Owóż jeszcze przed otwarciem posiedzenia wielu posłów wyraziło swe żywe niezadowolenie z tego, że komisya przedkłada gotowy wniosek pełnej Izbie, nie przedstawiwszy poprzednio sprawy sejmowemu Kołu posłów polskich. Pp. Rayski i Skałkowski oświadczyli, że sprzeciwią się uchwalenu rezolucyi proponowanej przez komisyę, lecz postawią wniosek, aby jedynie przyjąć do wiadomości jej sprawozdanie, nie uchwalając żadnego wezwania do rządu. P. Skałkowski zagroził nawet bezzwłocznem złożeniem mandatu poselskiego, jeżeli ta sprawa załatwiona zostanie merytorycznie bez poprzedniej decyzyi Koła. Gdyby nie to, że Sejm miał być za kilka godzin zamknięty, usuniętoby zapewne tę sprawę z porządku dziennego wtorkowego posiedzenia, zwołano dla niej specyalnie Koło poselskie, i wzięto pod plenarne obrady na posiedzeniu następnem.

Ponieważ jednak czas naglił, przeto Marszałek zrobił trzygodzinną przerwę, podczas której zebrało się Koło na poufną naradę i postanowiło głosować za wnioskiem komisyi, a pp. Rayski i Skałkowski cofnęli zapowiedziane wnioski wobec tego, że zasadniczemu ich żądaniu stało się zadość. Zarazem uchwaliło sejmowe Koło następującą rezolucyę:

„Koło uchwala:

1) iż w każdej sprawie, mającej znaczenie narodowe, zwłaszcza zaś w każdej sprawie językowej — Koło polskie ma być bezzwłocznie zwołane, jak tylko pojawi się wniosek, do takiej sprawy się odnoszący;

„2) iż w żadnej tego rodzaju sprawie właściwa komisya nie może powziąć uchwały, zanim nie zapadnie uchwała w Kole, szczególniej zaś nie może w takiej sprawie przeprowadzać rokowań z posłami narodowości ruskiej.

„Koło wzywa prezydyum, aby w takich razach samo zwoływało Koło, nie czekając inicyatywy posłów“.

Proces Zoli.

Paryż 23 lutego.

Nareszcie dzisiaj późnym wieczorem skończył się proces Zoli zwycięstwem sfer reprezentujących ład i porządek społeczny, odniesionem przed obliczem sprawiedliwości. A był to już czas najwyższy, gdyż ta szarpanina strony oskarżonej z przedstawicielami sprawiedliwości o dostęp do rzeczy nie kwalifikujących się absolutnie do wyciągania przed forum publiczne, sekundowana erupcyami namiętności tłumu, była wprost ohydną. Trwając przez przeszło dwa tygodnie doszła ona dzisiaj do punktu najwyższego w mowie Laboriego, który przez cały czas rozprawy dowodził swej adwokackiej bystrości tem, że rzucał się na wszystko co się nazywa jakąkolwiek władzą.

Trzeci dalszy ciąg swojej obrony poświęcił Labori owemu tajnemu dokumentowi na podstawie którego skazano Dreyfussa. To co o nim mówił, było szeregiem podejrzeń rzucanych na generalicyę, rząd, policyę, a nawet na ten trybunał sprawiedliwości, którego poczuciu i sumieniu poddał się teraz. Wreszcie mowa jego doszła do tego szczytu zuchwalstwa, że publiczność zebrana w audytoryum zaprotestowała dalszym jego wywodom. Labori zażądał opieki od przewodniczącego, a gdy przewodniczący zagroził opróżnieniem sali uciszyło się cokolwiek, ale nie na długo. Wśród wrzawy nie milknącej zakończył Labori swoje przemówienie.

Po nim powstał obrońca Clemenceau i powtórzył tylko szereg grawaminów wymierzonych przeciwko władzy, a znanych czytelnikom z przebiegu rozpraw. Gdy zaś w końcu, uniesiony oratorskim zapałem, śmiał porównać sprawę wyroku na Dreyfusa z wyrokiem na Chrystusa, porwał audytoryum istny szał oburzenia.

— Co ty wiesz o Chrystusie? Judasz! — wołała publiczność i nie mogła się uspokoić długo.

Tymczasem przewodniczący postawił ławie przysięgłych dwa pytania, czy Perreux redaktor dziennika *Aurore* i Zola jako autor „Listu otwartego“ winni są potwarzy popełnionej drukiem, a wymierzonej przeciwko władzom. Sędziowie przysięgli udali się na naradę. Gwar zwolna przycichł i ogólną uwagę zajęło oczekiwanie, jaki zapadnie wyrok. Po blisko godzinnej naradzie, wrócili sędziowie i ogłoszono następujący werdykt:

Redaktora *Aurore* p. Perreux, większością głosów uznano winnym, tak samo większością głosów uznano winnym i Zolę.

Zerwała się burza oklasków, wśród których prokurator van Cassel zażądał najwyższego wymiaru kary. Po trzyminutowej naradzie wydał trybunał wyrok skazujący Perreuxa na 4 miesiące więzienia i 3000 franków kary pieniężnej, a Zolę, jako autora potwarczego „listu otwartego“, na rok więzienia i 3000 fr. kary pieniężnej.

Długo niemilknące oklaski były odpowiedzią publiczności. Trwały one jeszcze wówczas, kiedy trybunał opuścił już salę rozpraw. Równocześnie dziękował Zola ostentacyjnie swemu obrońcy, i ściskał się z nielicznymi przyjaciółmi, zebranymi w sali rozpraw. Na ulicy, gdzie policya i dragoni pilnowali porządku, wieść o wyroku rozbiegła się w jednej chwili i zrobiła niesłychane wrażenie, a kiedy Zola wychodził z pałacu sprawiedliwości, przywitały go tłumy okrzykiem „Precz z Zolą!“

Według obiegających tu wieści, apostołowie niewinności Dreyfussa nie dają za wygraną. Zaraz w tych dniach, najpóźniej dziś lub jutro, wytoczone zostaną w Izbie deputowanych interpelacye w sprawie Dreyfussa i stanowiska, jakie zajął w procesie jenerał Boisdeffre.

Co i o czem piszą.

Korespondent wiedeński *Timesa* zamieszcza w jednym z ostatnich numerów tego dziennika artykuł, zatytułowany „Polacy austryaccy“, w którym donosi o liście swego przyjaciela politycznego we Lwowie (p. Kaź. Skrzyńskiego), określającym politykę Polaków w Austryi, który może się w znacznej mierze przyczynić do sprostowania mylnych, gołosłownych twierdzeń niektórych publicystów, jakoby Galicya była ogniskiem „ruchu separatystycznego“. Chociaż działalność Polaków w Radzie państwa, podobnie jak działalność wszystkich wielkich stronnictw parlamentarnych, bywa poddawana krytyce, to przecież nikt w Wiedniu nie zarzuca im przedsiębrania jakiejś polskiej narodowej agitacyi; postępowanie Sejmu galicyjskiego również nie ma ani śladu takich dążności. Następnie podaje korespondent najważniejszy ustęp listu tego, brzmiący jak następuje:

Sytuacya wewnętrzna w Austryi nie jest pomyślna. Nie potrzeba być pessymistą, aby to widzieć. Istnieje głębokie przesilenie, rodzaj politycznej influenzy. Jest to zupełna ewolucya; miejmy jednak nadzieję, że nie zamieni się ona w rewolucyę. Po obu stronach walczących rozigrane są namiętności, zagłuszające zimny głos rozsądku. Potrzebny koniecznie jest rząd opierający się na silnych zasadach. Polacy nie są bynajmniej nieprzyjaźnie usposobieni dla Niemców; przeciwnie, tylko nie mogą się zgodzić w żaden sposób na hegemonię niemiecką. Te czasy dla Austryi minęły już bezpowrotnie. My pragniemy pokoju i równości dla wszystkich. Pracujemy też nad przywróceniem zdrowych i prawidłowych parlamentarnych stosunków i podniesieniem sponiewieranej godności legislatury. Jeżeli potrzebny jest na to twierdzenie dowód, należy przypatrzyć się obradom i uchwałom Sejmu galicyjskiego. Reprezentacya Galicyi zachowała ów szlachetny spokój, który znamionuje wolny kraj. Podczas gdy naokoło szalała gdzieindziej burza, Sejm z całą powagą i miarą obradował nad potrzebami ludu, mając zawsze na oku w decydujących chwilach dobro całej monarchii, którą chcemy widzieć potężną i świetną, wznoszącą się na niewzruszonych podstawach wolności i sprawiedliwości; wystarczy tu przypomnieć dyskusyą adresową. Najlepsze to i najwymowniejsze świadectwo, że Polacy są żywiołem zgody i że w państwie tworzą czynnik pokojowy. Znamy doskonale i uznajemy stanowisko wybitne jakie należy się Niemcom i do jakiego mają prawo kulturą i rozwojem ekonomicznym, nie pozwolimy jednak nigdy na ukrócenie swobód innych narodowości. *Nasza polityka nie jest słowiańska;* jest ona polską i austryacką, opartą na postępie i wolności wszystkich ludów, wchodzących w skład monarchii. Oto nasz program narodowy!

Miłosierdzie gminy.

„Niektóre czyny ludzkie podobne są do owoców jabłoni, które zdaleka wydają się świeże i piękne, ale gdy im się zbliska przyjrzymy, spostrzeżemy, że je robak potoczył“. To zdanie Kraszewskiego mimowoli nasuwa się na myśl, po przeczytaniu noweli Konopnickiej p. t. „Miłosierdzie gminy“. W noweli tej wykazuje nam autorka bardzo dokładnie, jak przedstawia się zbliska piękna ustawa szwajcarska, wzbraniająca żebraniny, jako uwłaczającej godności człowieka, a w miejsce jej wprowadzająca miłosierdzie nowoczesne. Jak wiadomo, w tym błogosławionym kraju nie ma żebraków, ponieważ każdego niezdolnego do pracy starca przygarnia jakaś uczciwa rodzina, której gmina dodaje pewną stałą roczną pensyę na wyżywienie przyjętego. Zaiste, ustawa taka może być uważana za ogromną zdobycz cywilizacyjną i chlubę kraju.

Przypatrzmy się jednak temu miłosierdziu zbliska.

Oto w Hottingen odbywa się posiedzenie sekcyi dobroczynności, na którem miano przedstawić i dobrym sercom polecić niezdolnego do pracy starca. W kancelaryi zebrało się mnóstwo ludzi, częścią ciekawych, częścią interesowanych, którzy potrzebują posługi to w warsztacie, to w domu, to na roli, — i którzy rozumują, że „taką przyjętą z miłosierdzia starotę tylko dobrze przycisnąć, to więcej zrobi niż młody, — a co tam gmina dorzuci, to jakby znalazł“. Tłoczono się więc do balasek, aby zająć możliwie najlepsze do obserwacyi miejsce.

Po długiej i szumnej przemowie rozkazał woźnemu p. Radca magistratu wprowadzić do sali kandydata. Woźny, szerokim krokiem przeszedł salę i znikł w drzwiach bocznych, prowadzących do małej komórki. W drzwiach tych po małej chwili, ukazała się najpierw głowa, dygocąca na cienkiej, wychudłej szyi, potem kolana ku przodowi zgięte, potem stopy, resztką obuwia ozute, potem ręce zgrabiałe i drżące, które się uszaków drzwi z obu stron chwytały, żeby dopomódz nogom przez próg, a wreszcie grzbiet w pałąk zgięty. Był to Kuntz Wunderli, stary tragarz, którego wszyscy znali.

W sali zapanował głośny szmer.

— To kandydat?... Na miłosierdzie boskie, cóż to za kandydat? Któż to weźmie do siebie takiego trupa? Co za pomoc z tego komu? Co za wyręka? No, no! Ciekawa rzecz, co też gmina dać myśli za wzięcie tego próchnia! A toć to skóra i kości. Nic więcej.

Niezadowolenie było widoczne Niektórzy sięgali po czapki i odchodzili od balasków.

Tymczasem Kuntz Wunderli, popchnięty nieco z tyłu przez woźnego, wydobył się szczęśliwie ze drzwi i przy progu stanął. Pełne światło z otwartego okna padło na jego zniedzniałą i zgarbioną postać. Stał tak chwilę, mnąc pilśniowy kapelusz w rękach, a chude kolana drżały pod nim coraz silniej. Nagle wyprostował się, podniósł głowę i z uśmiechem na obecnych spojrzał. Uśmiech to był zachęcający — wesoły prawie. Ponieważ jednak Kuntz Wunderli nie wiedział, kto będzie jego panem, więc uśmiechał się do wszystkich i raźno mrugał oczyma, jakby chciał powiedzieć: Jeszczem ja mocny! I jaki mocny! Chleba darmo nie zjem, pracować będę, każdej robocie poradzę. I wody przyniosę i drzew ułupię i kartofli naskrobię i izbę zamiotę. Dużą siłę mam.

Właściwie mówiąc, był on w nader trudnem położeniu. Trzeba mu było i litość wzbudzić i nie okazać się zbyt niedołężnym. Wiedział, że stoi w charakterze starca, nie mogącego pracować, ale rozumiał też należycie, że każdy z tych, co tu przyszedł, na ręce jego patrzy, czy się roboty chwycą. Gmina ma wprawdzie nad nim miłosierdzie, ale zbyt dużo dopłacać nie może. Więc zmięszany i wzruszony patrzył ludziom po oczach, miarkując, co który myśli

A ludzie zaczęli na niego nabierać ochoty. Stary w istocie wyglądał wcale jeszcze dobrze. Wygolił się właśnie rano, a woźny, aby kandydat lepiej się przedstawił i za mniejszą dopłatą między ludzi poszedł, pożyczył mu kubraka i niebieskiej chustki na szyję, które po licytacyi znów sobie miał odebrać.

Pan Radca zagaił po chwili:

— Moi panowie, przypatrzcie się bliżej kandydatowi.

Tödi-Mayer, który miał na Kuntza widoczną ochotę, zapytał nagle:

— A ile macie lat stary?

Miał ich ośmdziesiąt dwa — jednak niezmieszany rzekł:

— Siedmdziesiąt cztery, kochanku! Siedmdziesiąt i cztery.

— A pokaż-no zęby stary, — odezwał się oberżysta z Mainau.

Kuntz rozszerzył zeschłe wargi i ukazał wcale jeszcze dobre zęby.

Publika zaczęła się śmiać.

Ieu-Peter, stolarz, przechylił się ku niemu.

— A machnijcie stary pięścią.

Wunderli postąpił krok naprzód, podniósł nieco głowę, grzbiet wyprostował i machnął kilka razy ręką, której ściśnięta pięść ginęła w długim rękawie pożyczonego kubraka. Ręka opadała za każdym razem jak złamana gałęź, a w stawach było słychać trzask przykry.

— A jakże nogi? — rzucił znowu Tödi-Mayer. — Maszeruj-no, stary!

Ale stary widocznie się zmieszał. Nogi były jego najsłabszą stroną — i to nawet nie tyle nogi, co kolana. Na samą myśl o wyprostowaniu, już mu w nich coś strzykało. Ale Kuntz Wunderli nie chciał zawieść gminy. Uśmiechnął się zrazu nieśmiało i boleśnie, poczem, zebrawszy siły, podniósł głowę, wytrzeszczył spłowiałe oczy, wyciągnął jak żóraw szyję, przycisnął rękami kolana i ku drzwiom maszerować zaczął. Jego sztywne nogi nie zginały się wcale; podnosił on je jak kije, z niezmiernym wysiłkiem, i opuszczał na dół, rozpaczliwie przyciskając rękoma chore i nabrzmiałe kolana.

Widok ten zdawał się zebranym nadzwyczaj pocieszny więc też całe zgromadzenie wybuchnęło głośnym śmiechem. Stojący bliżej przy ławach padali na nie, chwytając się za boki, pan Radca zasłonił sobie usta trzymaną w ręku ustawą, a woźny odwrócił się do kąta i parskał w kułak.

Kiedy stary przemaszerował izbę tam i napowrót i na swojem miejscu stanął, a śmiech przycichł nieco, przemówił pan Radca:

— Widzicie panowie, iż kandydat przedstawiony wam przez sekcyę dobroczynności gminy ze wszechmiar zasługuje na waszą uwagę. Zdrów jest, niezbyt podeszły w latach, siły dobrze mu służą i do każdej lżejszej roboty przydać się w domu może. Kto z panów reflektuje? I z jaką dopłatą?

Cisza zapanowała na chwilę, poczem powroźnik Sprüngli śmiało rzekł:

— Za przyjęcie w swój dom kandydata żądam od gminy dwieście franków.

Ale pan Radca począł przedkładać, iż stan finansów gminy, nie pozwala na podobnie kolosalne wydatki i dodał:

— Namyślcie się panowie. Wszak widzieliście zęby kandydata, — to człowiek jeszcze zdrów..

— I, cóż tam zęby! — odezwał się oberżysta z Mainau — To gorzej jeszcze, że zdrowe! Jak się stary rozje, to go nie natkam a do roboty nie stanie.

Posypały się na ten temat ze wszech stron dowcipy, które pan Radca przerwał, mówiąc tonem uroczystym:

— Pan Sprüngli podał dwieście franków. Kto z panów licytuje in minus?

— Sto ośmdziesiąt pięć wezmę, wycedził zwolna piekarz Lorche, ale niech przynajmniej przez tę zimę w swojem ubraniu chodzi.

— Sto ośmdziesiąt, z tym samym warunkiem — zawołał inny.

— Sto siedmdziesiąt i pięć — wyrzekł dobitnie Tödi Mayer, któremu na gwałt potrzeba było parobka.

— Sto sześćdziesiąt! — zawołał ktoś z kąta.

Nie dowierzano własnym uszom. Zdarzało się wprawdzie, że przy licytacyi ustępowano po pięć, po siedm franków, ale żeby kto piętnaście naraz mniej chciał brać, nie było przykładu.

Wszyscy, nie wyjmując pana Radcy, spojrzeli w kąt sali.

Z boku nieco, bliżej drzwi, po za ramionami licytantów, stał syn Kuntza, z krótką fajeczką w zębach. Za rękę trzymał najmłodszego chłopca.

Nikt mu za złe nie brał, że licytował własnego ojca. Wszyscy doskonale rozumieli, że człowiek jak każda rzecz, zużywa się, a zużyty cięży. Kto na to ma, może i dziada żywić, a nie dopiero ojca; ale kto nie ma na to, jużci kraść nie pójdzie. Jest to rzecz jasna jak słońce.

A przecież od tej rzeczy, jak słońce jasnej, padł jakiś posępny cień na wszystkie czoła Ludzie zebrani patrzali na siebie jakoś bokiem, jakby nikt nie mógł spojrzeć sobie oko w oko. Cisza trwała dłużej niż zwykle, a z ciszy tej dało się słyszeć ciężkie, do jęku podobne westchnienie starego Kuntza.

W pierwszej chwili, kiedy u drzwi, w gromadzie głów ludzkich, dojrzał on własnego syna, ciemna czerwoność buchnęła mu na twarz resztką krwi z pod serca i całe ciało zaczęło dygotać, jak na wielkiem zimnie Aby go tylko syn nie licytował, aby tylko nie syn!

Później jednak rozważył, że może i nie źle byłoby, gdyby się syn utrzymał. Synowa wprawdzie zła i skąpa, ale umarłby wśród swoich i wnuki widziałby codzień.

Otworzył więc usta i patrzył w twarz syna z mięszaniną strachu i nadziei.

A syn przecisnął się tymczasem do balasków, wyjął z ust fajkę i stanął w pierwszym rzędzie z podniesioną głową.

W sali zapanowała cisza.

— A więc moi panowie — zagaił, pomilczawszy nieco, pan Radca — a więc, utrzymuje się ostatnia oferta Sto sześćdziesiąt franków! Cieszy mnie, bardzo mnie cieszy.

Tu urwał. Właściwie nie wiedział co go tu ma cieszyć Tego, iż cieszy się, że sobie wszyscy raz do licha pójdą, nie mógł im przecież tak w oczy powiedzieć.

Ale przemowa ta okazała się przedwczesną.

— Sto pięćdziesiąt i pięć! — podbił syna Tödi-Mayer i otarł czerwoną bawełnicą szerokie spocone czoło.

Syn cofnął się w milczeniu od balasków i rozdmuchiwał przygaszoną fajkę. Ale dziecko, które za rękę trzymał, spostrzegło w tej chwili starego:

— Dziaduś! Dziaduś! — zawołało cienkim, przenikliwym głosikiem.

Stary wnuka nie widział, słyszał go tylko, rzewny uśmiech rozszerzył jego zwiędłe wargi. Potrząsnął radośnie głową i zrobił ruch taki, jakby brał tabakę. Idzie to jakoś, dzięki Bogu, idzie. Wszystko jeszcze może być dobrze. Wszystko może być dobrze.

— Sto pięćdziesiąt — zawołał syn.

Ale Tödi-Mayer ustąpić nie myślał. Zaperzył się; był z tych, którzy się rozpalają do każdej stawki. Cóż syn? Syn go mógł darmo trzymać. Za pieniądze gminy każdy teraz dobry, każdy ma prawo.

— Sto czterdzieści i pięć! — zawołał podniesionym głosem.

Syn przechylił głowę i patrzy na Tödi-Mayera z wysoka, lekko zmrużonemi oczyma.

Namyślał się chwilę, poczem machnął obojętnie ręką. Nie może ryzykować więcej. Zrobił co do niego należało, ale ryzykować nie może. Jego czarna o prostych włosach głowa i twarz kwadratowa, drewniana, cofnęły się z szeregu, a wysoka, koścista, nieco pochylona postać posuwała się ku drzwiom wskróś ciżby.

Stary patrzył za nim. Był niespokojny, otwierał usta i wyciągał szyję, lewa powieka zaczęła mu drgać nerwowo. Wyglądał teraz staro, bardzo staro. Tödi-Mayer zmiarkował, że nieświetny zrobił interes i szeptał z kumem Spenglerem.

Tymczasem pan Radca uderzył dłonią w biurko, przy którem stał.

— A zatem — odezwał się dźwięcznym, jasnym głosem — sto czterdzieści i pięć franków! Po pierwsze.... po....

— Za pozwoleniem! — przerwał nagle Tödi-Mayer. — Czy tylko kubrak należy istotnie do starego?

Pan Radca zmarszczył piękne, gładkie czoło.

— To nie może wchodzić w zakres roztrząsań gminy! — rzekł z godnością, a woźny odwrócił się do kąta i kaszlał głośno.

— Jakto nie może? — ujął się za sąsiadem Spengler. — Gmina musi wiedzieć co daje, a ten, kto bierze, musi wiedzieć, co bierze. To jasne!

— Kubrak twój? — zapytał Tödi-Mayer zwracając się bezpośrednio do starego Kuntza.

Ale stary Kuntz nie słyszał.

Lewa jego powieka drżała coraz silniej, spojrzenie słupiało. Widział jak syn oddalał się i jak we drzwiach znikł. W chwilę potem widział go jeszcze przez otwarte okno i słyszał szczebiot dziecka. Idą.. Przeszli...

Stary opuścił głowę i trząsł nią w milczeniu. Poczem ścisnął powieki z całej siły, gdyż coś gorzkiego i słonego żarło mu oczy.

— Słyszysz stary? — powtórzył Tödi-Mayer — Pożyczył ci kto kubraka, czy twój własny?

Usłyszał wreszcie. Zmieszał się, spojrzał po sobie, zaczął szybko mrugać czerwonemi oczyma i rzucał ukradkiem spojrzenia w kąt gdzie stał woźny.

Tödi-Mayer uderzył pięścią w balaski.

— Ależ to oszukaństwo! — wybuchnął gniewnie.

— Tak, tak — odezwało się kilka naraz głosów.

Szmer rósł w sali; oburzenie udzieliło się wszystkim.

— Człowiek ma miłosierdzie — wołał Tödi-Mayer, szeroko rozkładając wielkie, czerwone ręce — bierze sobie za marny grosz taki ciężar na kark, ale chce, żeby interes rzetelnie był zrobiony. To trudno!

Na twarz pana Radcy buchnął płomień gniewu:

— Ściągaj kurtę! — krzyknął na starego a Kuntz Wunderli z pośpiechem począł ją rozpinać.

Nie szło to jednak łatwo. Ręce mu się trzęsły, pokurczone palce nie trafiały do guzików odrazu; staremu pomagał woźny, ściągając ze złością rękawy. Jako urzędnik gminy czuł się on niemal tak samo dotkniętym jak Radca.

— Kapuściana głowa! Niedołęga! — szeptał przyciszonym, zirytowanym głosem, szarpiąc nieprzemiany to jeden, to drugi rękaw nieszczęsnej kurty, po zdjęciu której, okazała się cała wyjątkowa nędza zapadłych piersi i wychudzonych żeber kandydata, ledwie co okrytych srodze łataną koszulą i szczątami letniej kamizeli. Teraz dopiero można się było przypatrzeć dobrze jego kolanom, tak ku przodowi wygiętym, że cała postać przysiadać się zdawała jego wykręconym ciężkim stopom i jasnokościstym łokciom.

Ta smutna postać budziła jednak tylko wesołość na sali. Jedni śmiali się dobrodusznie inni złośliwie, spoglądając na Tödi-Meyera, którego wypukłe i błyszczące oczy, obiegały postać starego nędzarza, jakgdyby każdą z jego wyschłych i struchlałych kości czyniły odpowiedzialną za tak wielki zawód. Oczyma temi świdrował go, jak fałszywy szeląg, roztrząsał jak stary łachman, przenikał do ostatniej żyłki do resztki tchu w piersiach.

— Cofam słowo! — zawołał wreszcie. W takich łachmanach nie mogę brać dziada za sto ośmdziesiąt franków.

— A to i dwieście mało! — dają się słyszeć głosy.

Pan Radca był w nader przykrem położeniu.

Na szczęście drzwi się otwarły i wszedł śmiałym krokiem tęgi mężczyzna, z grubym karkiem i szeroką czerwoną twarzą. Był to Probst, właściciel wielkiej obory, handlujący mlekiem.

Przeszedłszy w kilku krokach całą szerokość kancelaryi, stanął przy balaskach, zmrużył bure oczy i celował niemi w starego jak wylotem fuzyi.

Tymczasem izba przybrała całkiem inny pozór. Wszyscy uczuli, że przybył konesser. Twarze się ożywiły, ten i ów ku balasom się zbliżał, gdyż chwila zaczynała być naprawdę interesującą. Ale Kuntz Wunderli, na widok Probsta poruszył się niespokojnie, nerwowo. Wiedział on doskonale, że Hänzli, tak samo z gminy wzięty, po trzech miesiącach powiesił się u Probsta na strychu; pamiętał, jak ciągnął wózek z mlekiem i jak ramiona miał od szelek obdarte; pamiętał, jak mu u Probsta oczy zapadły, a twarz zczerniała i wyschła.

Skurczył się więc stary, głowę w ramionach schował, przycisnął do boków kościste łokcie i usiłował okazać się małym, nędznym i zupełnie bezsilnym.

Ale Probst znał się na tych sztuczkach dobrze. Wiedział, że taka starota to jak pęknięty garnek, który gdy się zdrutuje, to trwa czasem dłużej, niż nowy. Wiedział, że z takiego — czy złością, czy dobrocią — zawsze trochę się roboty wyciśnie, ile zje, a co gmina dopłaci to jakby znalazł.

Spojrzał więc bystro w twarz urzędnika i rzekł silnym, dobitnym głosem.

— Sto dwadzieścia pięć!

Słowa te wywołały silne wrażenie. W sali zrobiła się cisza wielka, w którą wpadło tylko zarczywe, zajadłe szczekanie psa, pozostawionego przede drzwiami przy mleczarskim wózku. Stary Wunderli spoglądał to na lewo, to na prawo, jakby szukał okiem, którędy ma uciec. Nie uciekał wszakże: stał jakby skamieniały, jakby wrósł w podłogę. Tylko coraz bardziej opadała mu dolna szczęka, a oczy otwierały się coraz szerzej.

— Sto dwadzieścia i pięć! — zawołał Probst raz jeszcze.

Pan Radca, zadowolony, że nareszcie ta nudna historya ma się ku końcowi dał woźnemu znak.

— Po raz pierwszy! — zawołał ten skwapliwie, stukając laską w ziemię. — Po raz drugi! I... po raz trzeci!

Licytacya była skończona.

W chwilę potem Kuntz Wunderli stał u dyszla mleczarskiego wózka, trzęsąc swoją nędzną, starą, siwą głowę i usiłując drżącemi rękami przełożyć przez siebie parcianą szelkę. Z drugiej strony dyszla rzucał się w postronkach silny, kudłaty pies w takiejże uprzęży, ujadając głośno, donośnie....

Kronika.

Lwów 24 lutego.

Wiadomości urzędowe. Dyrektor gimnazyum św. Anny w Krakowie, docent prywatny Leon ...czyński otrzymał tytuł radzcy rządowego.

Śledź popielcowy. Wczoraj na dworcu ...jowym odbyło się serdeczne i liczne zebranie ...dników kolejowych, na którem spożyto po raz ...wszy w gronie koleżeńskiem śledzia popielcowego. W przemówieniach podniesiono przedewszystkiem skuteczną działalność p. Jerzego Guttmana, który zainicyował tego roku ruch towarzyski w świecie kolejowym lwowskim i dzięki jego gorliwości dodał wił się w ukończonym karnawale bardzo ...

W klubie pocztowym spożywano wczoraj „śle...dzia pocztowego.“ Zebranie nacechowane serdecznością i humorem trwało kilka godzin.

Z karnawału. We wtorek zapustny ... hr. Józefowie Łubieńscy ostatni wieczór tańcujący, który udał się, jak wszystkie tygodniowe ...

w tym gościnnym domu, doskonale Tańce w 20 par zakończył hr. Justyn Łoś. — Kasyno narodowe zakończyło karnawał ochoczym piknikiem. Aranżerem tańców był hr. Stanisław Mycielski. — Koło literacko-artystyczne urządziło we wtorek ostatni wieczór tańcujący, który zgromadził około sto osób. Bawiono się wybornie.

W poniedziałek w Krakowie u hr. Stanisławów Tarnowskich odbył się wielki bal w pałacu na Szlaku. We wtorek zaś w hotelu Saskim urządzono piknik, na który przybyło około 150 osób. Tańce prowadził p. Ludwik Zeleński. Naturalnie z uderzeniem godziny 12 tej goście, w najlepsze rozbawieni, zaprzestali tańców.

W Wiedniu staraniem pp. Hausnera, Michałowskiego i Pinińskiego w hotelu „Erzherzog Carl" odbył się w poniedziałek świetny piknik, w którym wzięło udział liczne grono bawiących w Wiedniu Polaków. — W hotelu „Victoria" inne grono Polaków wiedeńskich urządziło w poniedziałek piękny piknik, na którym doborowe towarzystwo w trzydzieści par tańczyło z polską dziarskością do rana.

W Złoczowie poświęcono tymi dniami nowo wybudowaną kaplicę w budynku szpitala powszechnego.

Publicznie ścigany jest kapitan I kl. Jan Wolf z 16 pułku obrony krajowej, oskarżony o sprzeniewierzenie i dezercyę. Śledztwo przeciw niemu toczy audytoryat w Krakowie.

Z gal. Towarzystwa muzycznego. Pod przewodnictwem prezesa Andrzeja ks. Lubomirskiego odbyło się wczoraj doroczne walne zgromadzenie Tow. muzycznego. Imieniem rewidentów wniósł p. Gubrynowicz absolutoryum dla wydziału. W miejsce ustępujących członków wydziału wybrano ponownie dra Goldmana, Małachowskiego i prof. dra Siemiradzkiego, dalej pp. Jana Breyera i Bolesława Papéego. Rewidenci pozostali ci sami.

Morderstwo w klasztorze. Onegdaj rano w klasztorze krakowskim OO. Karmelitów na Piasku znaleziono na korytarzu parobka Wincentego Jarzynę, zbroczonego krwią i poranionego. Rany, jak zbadała policya, otrzymał on w bójce nocnej, stoczonej na noże z rywalem swoim, parobkiem Wycińskim, konkurującym o rękę tej samej dziewczyny Wiktoryi Zabłockiej, w której się i Jarzyna kochał. Jarzyna jest bardzo ciężko chory.

Konkursa rozpisują: Prezydyum sądu obwodowego w Złoczowie na posadę oficyała kancelaryjnego w IX kl. rangi w sądzie powiatowym w Busku. Termin do 15 marca — Wakują dalej następujące posady kancelistów sądowych w XI klasie rangi: przy sądzie krajowym we Lwowie, w sądach powiatowych w Boryni, Dolinie, Dobromilu i Rymanowie. Termin do 31 marca.

Egzamina na jednorocznych ochotników (Intelligenzprüfung) odbywały się w dniach 21 i 22 b. m. w salach biblioteki kasyna wojskowego pod przewodnictwem p. majora br. Webera. Do egzaminu zgłosiło się 16 aspirantów. Z pomyślnym skutkiem złożyli egzamin następujący panowie: Tadeusz Zgórski ze Lwowa, Henryk Krzysztofowicz z Bukowiny, Stefan Polanowski z Sanockiego, Biliński i Krupski ze Lwowa, Emil Ciesielski z Pokucia, Alfred Zoffal z Kołomyi, Jan Mostyski z Wieliczki, Zygm. Baron z Królestwa, Eustachy Dreyman z Krems, Władysław Puchalski z Samborskiego, Ryszard Makusz z Petersburga, Rudolf Rutkowski z Radymna i Piotr Zwarycz z Konstantynopola. Dwóch izraelitów reprobowano na rok.

Sprostowanie. We wczorajszym wykazie członków komisyi krajowej dla wystawy paryskiej zaszło kilka pomyłek, które niniejszem prostujemy. Zamiast „Czartowski Pełkin" ma być „Czartoryski z Pełkiń"; zamiast „Władysław Jędrzejewicz" „Władysław Fedorowicz" [illegible]; zamiast „Juliusz Trommel" „Juliusz Frommel"; zamiast „Włodzimierz Suchewicz" „Włodzimierz Szuchiewicz", a zamiast „dr. Antoni Vogel" ma być „dr. Aleksander Vogel".

Z Towarzystwa łyżwiarskiego. Na stawach Panieńskich odbędzie się 27 b m. corso kwiatowe. Pożegnalny ten festyn polega na tem, że każdy bez wyjątku, czy to na torze, czy w lożach lub na trybunach, obdarzony zostanie przy wstępie wiązanką z żywych kwiatów, do której nadto dodany będzie los na wygranie wspaniałej palmy, wartości 60 koron. Ciągnienie losów nastąpi o godz. 6 wieczór, z której uderzeniem bezpłatny rozdział kwiatów nastąpi. Na zakończenie spalone będą ognie sztuczne i bengalskie.

Pocztowego złodzieja udało się wczoraj aresztować policyi lwowskiej Jest nim niejaki Feliks Choma, który będąc pocztylionem w Żółtańcach, skradł w listopadzie z. r. worek z 1500 zł. O kradzież tę podejrzywano innego pocztyliona Józefa Matysa, którego też uwięziono. Choma przez cały czas ukrywał pieniądze, aż dopiero w połowie bieżącego miesiąca straciwszy w Żółtańcach posadę, przyjechał do Lwowa i postanowił się tu dobrze bawić. Rozrzutność jego zwróciła uwagę agentów policyjnych, którzy zrewidowali go wczoraj i wykryli przy nim 1173 złr. pochodzących z kradzieży, do której się Choma przyznał. Osadzono go w więzieniu.

Tani kupiec. Do handlu Bałabana wszedł wczoraj młody jakiś, przyzwoicie odziany jegomość, kazał sobie odważyć 50 kilogramów cukru i 10 kilogramów kawy i polecił chłopakowi zabrać ten towar i pojechać z nim dorożką do domu, gdzie otrzyma zapłatę. Kupiec nie przeczuwając oszustwa, zgodził się na to. Nieznajomy więc wsiadł z chłopakiem do dorożki i kazał się odwieźć na ulicę Kochanowskiego, gdzie przed jakimś trzypiętrowym domem kazał dorożce stanąć i posłał chłopaka na górę na trzecie piętro po służącą, ażeby przyszła i zabrała towar. Gdy chłopak wszedł do kamienicy, nieznajomy kazał dorożce zawieść się na ul. Chorążczyzny do grajzlernika Łuczyna i sprzedał mu towar za 33 złr. Najgorzej wyszedł na tym interesie Łuczyn, gdyż policya odebrała mu towar.

Zmarli. W Łopuszance Ignacy Zadurowicz, pocztmistrz i członek Rady powiatowej staromiejskiej.—W Kijowie zmarł w tych dniach nagle na anewryzm serca w 50 roku życia ś. p. Stanisław Blumenfeld, muzyk-pianista i kompozytor, dyrektor szkoły muzyczno-dramatycznej w Kijowie. Była to w Kijowie popularna postać, gdyż talentem swoim, uczciwością i zaletami towarzyskiemi zjednał on sobie szerokie koła życzliwych. Ojciec zmarłego, śp. Michał Blumenfeld, utrzymywał ongi słynny pensyonat dla młodzieży obywatelskiej i dom jego gromadził podówczas wytworne koło artystyczno-literackie, z Kraszewskim, Korzeniowskim, Kaczkowskim, Grozą i innymi.

Stan powietrza. T. o g. 8 rano — 0, w poł. + 1 R., Bar. 768. Podnosi się. Pochmurno.

Prix fixe.

Do składu garderoby „Modes-fein-paryskie" na Krakowskiem przybywa kundman

— Co szanowne pan rozkaże? — zapytuje kupiec. — Mam najświeższe garderobe zagraniczne, ostatnie fason prosto z Paryża.

— Potrzebuję palta, ale ostrzegam, że targować się nie lubię.

— U mnie targ niepotrzebny. To wszystko prikse fikse.

Kundman wybiera palto.

— Jaka cena?

— Co tu wiele gadać! Nie będą panu cenił za to piękne palto ani 40 guldenów, ani 35 guldenów, ani 30 guldenów, ani nawet 25 guldenów, powiem ostatnie słowo: da pan 20 guldenów?

— Wiesz pan co, panie kupiec: nie dam panu za to palto ani 20 guldenów, ani 15 guldenów, ani nawet 10 guldenów, powiem ostatnie słowo: dam 5 guldenów.

— Szmul, zawiń temu panu palto!

Repertuar teatru. Dziś we czwartek po raz 4-ty „Livia Quintilla". Jutro w piątek po raz drugi „Dama kameliowa". W sobotę po południu „Zbójcy", wieczorem „Halka". W niedzielę po południu „Grochowy wieniec czyli Mazury w Krakowskiem", wieczorem „Livia Quintilla". W poniedziałek po raz pierwszy „Dzwon zatopniony", bajka dramatyczna w 5 aktach Gerharda Hauptmana.

Literatura i sztuka.

* **Koncert kompozytorski Noskowskiego** urządzony staraniem tow. Lutni przy współudziale licznych sił artystycznych odbył się wczoraj w teatrze skarbkowskim. Trudno zrozumieć, dlaczego dość obszerny a zajmujący program ściągnął tylko garstkę publiczności do teatru, podczas gdy Livia Quintilla każdym razem zapełnia salę po brzegi, zwłaszcza że niektóre utwory odegrane na wczorajszym koncercie choć mniejsze w rozmiarach i nie sięgające tak wysoko w swych aspiracyach przewyższają pod względem wartości artystycznej operę Noskowskiego. Koncert rozpoczął się marszem uroczystym pisanym na wielką orkiestrę. Silna i efektowna instrumentacya tego utworu robi rzeczywiście wrażenie dość imponujące, szkoda tylko, że inwencya muzykalna nie stoi w stosunku proporcyonalnym z nastrojem uroczystym tego dzieła, które przy swej długości a równocześnie przy braku odpowiednich motywów i melodyi traci z każdą chwilą na sile i nie może utrzymać się na wysokości swego zadania. Następnie odśpiewał chór męski Lutni trzy utwory choralne Noskowskiego a mianowicie: „Oj na dół rzeka płynie", „Chór pól i łąk" i „Pojedziemy na łów". Ostatni z tych chórów jest jednym z tych dzieł, o których można powiedzieć że są wielkie w swoim rodzaju, jakkolwiek ich rodzaj jest małym. Chór ten napisany z wielkiem znawstwem na punkcie kwartetu męskiego, jest małem arcydziełem przez względ na piękną modulacyę głosów, jakoteż na wyzyskanie ich barw poszczególnych, a humor tkwiący nietylko w słowach, lecz w samej muzyce dopełnia znakomitą całość. W porównaniu z tym chórem dwa poprzednie wydają nam się słabe, szczególnie z powodu harmonizacyi. Dr. Adam Szulisławski doskonały i zaszczytnie znany amator-śpiewak oddał z przejęciem artystycznem dwa utwory solowe: „Pożegnanie" (do słów Władysława Noskowskiego) i „Pieśń o Lechu". Są to pieśni pięknie pomyślane a co najważniejsza dość melodyjne Dwa polskie tańce Krakowiak i Mazur osnute na tle melodyi ludowych zachwyciły naszą publiczność przedewszystkiem dla swego znakomitego układu i wykwintnej instrumentacyi, dla charakteru czysto narodowego wyzierającego z każdej nuty, jak niemniej dla doskonałego wykonania pod batutą kompozytora. Owe tańce stanowiły punkt kulminacyjny wczorajszego koncertu.

Druga część programu rozpoczęła się marszem żałobnym, poświęconym cieniom Asnyka. Ponure, grobowe i smętne tony połączył tu kompozytor na całość, która bezsprzecznie robiłaby wielkie wrażenie, gdyby ów marsz nie był również zanadto rozwlekłym i długim. Pianista prof. Melcer odegrał dwa utwory fortepianowe Noskowskiego „Au printemps" i Krakowiaka Nr. 4 ty, a na ogólne żądanie publiczności dodał Krakowiaka 2-go. Pierwszy z tych utworów mimo prawdziwie wirtuozowskiej i świetnej gry prof Melcera nie zrobił wielkiego efektu z powodu bezbarwności, leżącej w samej kompozycyi, dopiero Krakowiak rozgrzał publiczność, a najbardziej podobał się utwór odegrany nad program. Scena teatralna wogóle nie jest odpowiednim terenem do popisów fortepianowych, szczególnie wtedy, gdy wielki salon utworzony na scenie pochłania cały głos instrumentu, powiedziawszy nawiasem, niezbyt świetnego. Ostatnim numerem programu była Ballada ludowa „Jasio" na chór mięszany, partye solowe i orkiestrę. Nie mogliśmy zachwycać się tą kompozycyą. Do libretta pięknego, ale na wskroś ludowego, napisał Noskowski muzykę wprawdzie odpowiednio dramatyczną, lecz napuszystą, koturnową, zawikłaną i miejscami niezrozumiałą, nie mającą nic wspólnego z charakterem ludowym treści i formy libretta. Orkiestra również nie dostraja się do kamertonu ludowego i robi raczej wrażenie ilustracyi instrumentalnej do jakiegoś dramatu fin de siecle, niż akompaniamentu do ballady o biednym Jasiu. Wrażenie całości jest wskutek tego niejednolite, gdyż słowa nie idą w parze z ilustracyą muzyczną, a brak wszelkich motywów melodyjnych wywołuje u słuchacza apatyę i zmęczenie Partye solowe śpiewali p. Wanda Chulawska i p. dr. Karol Czerny.

Przedstawiciele Tow. „Lutni" wręczyli kompozytorowi wieniec laurowy z napisem „Znakomitemu pieśniarzowi polskiemu wdzięczna Lutnia". Drugi wieniec laurowy z napisem „Mistrzowi Noskowskiemu wdzięczni uczniowie" wręczył autorowi „Livii" prof. Melcer imieniem swojem, jakoteż pp. Konopaska i Starczewskiego. Przed koncertem odegrali artyści dramatu „Dziką różyczkę" Blizińskiego.

Fr. Neuhauser.

* **Rycerstwo polskie wieków średnich** przez dra Piekosińskiego, tom I in 8°, str. 399; tom II in 8°, str. 467.

Już w roku 1888, w swojem monumentalnem dziele p. t. „O dynastycznem szlachty polskiej pochodzeniu", które epokę stanowić będzie w dziedzinie heraldycznej, wypowiedział autor swoje zapatrywanie, że szlachta polska jest dynastycznego pochodzenia, t. j. że szlachectwo polskie zasadza się nie na nadaniu czyli przywileju książęcym, lecz na pochodzeniu po krwi z rodziców, których przodkami, czyli prarodzicami, byli młodsi potomkowie panujących u Słowian lechickich dynastyi książęcych.

Tę myśl rozprowadza dalej w szczegółach autor w nowem swem dziele o rycerstwie polskiem wieków średnich, którego tom pierwszy nie jest niczem innem, tylko ponowieniem, nieco zmienionem, pomnożonem, dawniejszej pracy.

W szczególności wykazuje autor, że u Słowian lechickich władza książęca miała pierwotnie ściśle wojewodziński charakter, to jest, że panujący książę nie był zrazu niczem innem jak tylko wojewodą, naczelnym wodzem wojów, a wszystkie sprawy administracyjne wyłącznie do wieców ludowych należały.

Symbolem tej władzy wojewodzińskiej panującego księcia było używanie znaku wojskowego, signum militare, sztandaru, czyli stannicy, a do tej stannicy przywiązane było pewne hasło wojskowe, czyli tak zwana proklamacya.

Władza książęca była dziedziczną z zachowaniem senioratu, t. j., iż najstarszy syn dziedziczył po ojcu stolicę książęcą razem z godnością wojskową, młodsi zaś bracia seniora w dziedziczeniu władzy książęcej nie mieli udziału. Byli i oni dowódcami wojskowymi podczas wyprawy wojennej, lecz pod naczelnem seniora dowództwem i w tym charakterze służyło im prawo używania własnych stannic wojennych razem z hasłami i proklamacyami, te jednak stannice i proklamacye nie mogły być indentyczne ze stannicą i proklamacyą ich zmarłego ojca, która w niezmienionej formie tylko najstarszemu synowi w dziale przypadała; młodsi tworzyć sobie musieli znaki stannicze i proklamacye nieco odmienne.

Ci młodsi potomkowie panującej dynastyi książęcej te pierwszy zawiązek szlachty polskiej, pradynastowie rodów szlacheckich, ich zaś stannice wojskowe to pierwszy zawiązek herbów szlachty polskiej, a hasła, czyli proklamacye, przywiązane do tych stanic, przemieniły się z czasem w nazwy herbów; stąd między herbem a jego nazwą nie istnieje zazwyczaj zgoła żaden związek, gdyż przy formowaniu haseł nie wygląd stannicy, lecz imię naczelnego wodza brano na uwagę.

Jako najstarszą dynastyę książęcą u Słowian lechickich przyjmuje autor dynastyę Dragów, która już w połowie VIII wieku na widownię występuje dziejową. Jako praojca tej dynastyi uważa autor Samona, który, umierając, zostawił państwo swoje dwudziestu dwom synom.

Autor wypowiada zdanie, że pierwotny ustrój społeczny Polski piastowskiej jest rezultatem jakiejś katastrofy, jakiegoś najazdu. Dostrzega autor w tym ustroju trzy klasy społeczne: wieśniaków z bardzo ograniczoną osobistą wolnością, klasę włodyków, niby półszlachty, i najwyższą — szlachty, czyli rycerstwa.

Klasa wieśniacza przedstawia, podług autora, ludność tubylczych Lechitów nadwiślańskich, którzy około końca VIII wieku utracili swoją niezależność polityczną przez najazd Lechitów nadłabskich, reprezentantów najazdu, mających swoje pierwotne siedziby w Drewii przy ujściu Łaby, a przy schyłku VIII, a może na początku IX wieku opuścili swoją ziemię ojczystą i przenieśli się w okolice teraźniejszego Poznania, Gniezna, Kruszwicy. To przypuszczenie swoje opiera autor na różnych historycznych kombinacyach, których tu nie powtarzamy.

Dalej przychodzi autor do takiego wniosku, że najstarsze herby szlachty polskiej, przedstawiają runy skandynawskie; że zaś nie ma śladu istnienia kiedykolwiek jakiego wpływu kultury skandynawskiej na Słowian zachodnich, a w szczególności na lechickich, przeto przyjęcie run skandynawskich, jako znaków stanniczych, da się tylko w ten sposób wytłumaczyć, że Polacy musieli kiedyś sąsiadować ze Skandynawami. Otóż jedna Drewia w bliskiem była sąsiedztwie ze Skandynawią, więc Drewia tylko mogła być pierwotną Polaków onych siedzibą.

Potwierdza to także samo imię Polaków; Polakami bowiem zwano, tak jak Pomorzanami, Połabianami tych, którzy mieszkali na pograniczu Lachów; Lachowie zaś, jak to już i Szajnocha utrzymywał, byli to towarzysze normandzcy, czyli Normanowie; otóż, jeśli Polacy mieszkali na pograniczu normandzkich Lachów, tedy mogli mieszkać tylko w Drewii, którą, raz opuściwszy, już do niej wrócić nie mogli, ponieważ ona zajętą została przez różne plemiona saskie.

Wiadomo, że runy skandynawskie mają dwa abecadła (futhorki): starsze i młodsze; starsze wychodzi z użycia już przy schyłku VIII w., młodsze zaś już w IX stuleciu panuje wszechwładnie. Otóż, jeżeli w najstarszych herbach szlachty polskiej są runy obu futhorków, to przyjęcie ich musiało nastąpić tylko w takiej chwili, kiedy runy te były jeszcze w użyciu, t. j. przy końcu VIII i na początku IX wieku.

Na koniec więc VIII lub początek IX wieku kładzie autor wyprawę Polaków z Drewii nad Wartę, co przypadałoby mniej więcej na czasy Popiela II, Chwościszka; kronika zaś Galla poczyna się właśnie od panowania tego księcia, w czem autor upatruje dowód, że tradycya Polaków nad Wisłą nie sięgała dalej nad panowanie Popiela II, że zatem książę ten pierwszym jest księciem Polaków nad Wisłą i że pod jego naczelnem dowództwem Polacy przedsiębrali wyprawę swą z Drewii nad Wartę.

Siły zbrojne tej drużyny, podług autora, miały być zorganizowane na wzór Sasów w pułki po tysiąc ludzi, każdy pod dowództwem swego osobnego wojewody, pod osobnym sztandarem, czyli stannicą, do której było przywiązane osobne hasło czyli proklamacya, brana dla każdego pułku z imienia wojewody, a wojewodowie ci zostawali pod naczelnem dowództwem panującego księcia Popiela II.

Charakterystycznem znamieniem zaś znaków tych stanniczych było to, że przedstawiały zawsze runę wiązaną, z dwóch run skandynawskich złożoną, z których jedna była runą całego rodu, druga zaś była zawsze runą „tyrem", symbolem boga wojny, jako symbol wojewodzińskiej godności.

Rozpatrując się w heraldyce polskiej, szukając owej runy tyra, autor odnalazł takich stannic 59 pierwszych wojewodów; z innych zaś źródeł wydobył autor jeszcze 8 dalszych pierwotnych imion wojewodów, czyli razem 67 i na tej zasadzie wyprowadza wniosek, iż skoro podczas wyprawy Polaków z nad Łaby, mianowicie z Drewii, było 67 wodzów a każdy taki wojewoda dowodził pułkiem złożonym z 1.000 wojów, tedy siły Polaków podczas tej wyprawy zapewne wynosiły około 67.000 ludzi orężnych, którzy zawitali nad Wisłę i Wartę, podbijając sobie nowe siedziby.

Tych 67 wojewodów uważa autor jako praojców wszystkiej szlachty polskiej wieków średnich; każdy z nich jest pradynastą osobnego rodu szczepowego, od których to 67 rodów wszystkie familie szlachty polskiej pochodzą, bądź jako linie senioralne, bądź jako linie poboczne.

W ten sposób wydobył autor szereg imion rycerzy z pierwszego pokolenia pobytu Polaków między Odrą, Wartą i Wisłą (r. 801—833), którzy wszyscy przedstawiają się jako pradynastowie rodów szczepowych szlacheckich polskich.

Zrazu każdy z tych rodów szczepowych istniał samodzielnie i używał swojej osobnej stannicy wojskowej i osobnej proklamacyi; z biegiem jednak czasu, gdy niektóre rody szczepowe ubożeć zaczęły i własnych na wyprawę wojenną chorągwi wystawić nie były w stanie, poczęły te biedniejsze już rody łączyć się napowrót z pokrewnemi sobie, dostatniejszemi rodami pod wspólną stannicą, zarzucając swoją odrębną stannicę wojskową, a zatrzymując tylko osobną proklamacyę, co się nazywa—rekonsolidacyą. Takie zjawiska, podług zdania autora, często się wydarzały.

Od tych rodów szczepowych pochodzą wszystkie rody prastarej szlachty polskiej, jako gałęzie boczne

W drugim tomie jest bardzo ciekawy spis w alfabetycznym porządku nazw tych miejscowości, które w sobie imiona rycerstwa, szlachty kryją i z XII wieku pochodzą. Autor powiada, że żadne źródło nie dostarcza tak obfitego materyału do badania imion rycerstwa polskiego wieków średnich, jak właśnie nazwy miejscowe, w nich bowiem kryje się i dochowało się wiele imion takich, które złożone są z źródłosłowem Drag, przypominającym dynastyę najstarszą, panującą u Słowian zaodrzańskich, jak np. Miłodrag, Nadrag, Niedrag, Sudrag.

Szanowny autor w przedmowie do drugiego tomu robi nam nadzieję, że może jeszcze wyda ciąg dalszy swoich pouczających i niezmiernie ciekawych studyów. Czekamy tego z niecierpliwością.

Z izby sądowej

Lwów, 24 lutego.

(Obiecująca młodzież.)

Dziś przed sądem przysięgłych stanęli jako oskarżeni dwaj gimnazyaliści: ośmnastoletni August Olejniewicz i 17 letni Julian Rotter z powodu, iż Olejniewicz wykradał od swojej matki przechowane u niej przez rozmaite osoby książeczki kasy oszczędności na łączną kwotę 968 zł., w czem Olejniewiczowi był pomocnym Rotter. Młodzieniaszkowie ci hulali jak tylko mogli, sprowadzili się pod przybranymi nazwiskami w hotelu Angielskim, wydawali tam „przyjęcia", uczęszczali na reduty, nawiązywali znajomości z „damami", jednem słowem pragnęli wychylić do dna puhar rozkoszy, zdobyty złodziejskim sposobem. Oskarżeni robią przygnębiające wrażenie. Ich młodziuchne, różowe, puszkiem młodości owiane twarze stanowią rażący kontrast z nikczemną zbrodnią, której się dopuścili. Olejniewicz przyznaje się do winy, jego zaś wspólnik Rotter wypiera się, jakoby wiedział, że pieniądze, które mu Olejniewicz dawał, pochodziły z nieprawego źródła.

Wyrok zapadnie wieczorem.

* * *

Tarnopol 22 lutego.

(Morderstwo.)

Przed tutejszym trybunałem sędziów przysięgłych toczyła się rozprawa karna przeciw Michałowi Korolowi, włościaninowi z Jagielnicy, liczącemu lat 26, oskarżonemu o zamordowanie sąsiada swego Romana Biłousa. Korol śpiącego w stodole Biłousa zadusił w celu rabunku, wiedząc, że zamordowany dnia poprzedniego sprzedał jęczmień za 4 złr. Sprawca znalazł u swej ofiary tylko 1½ złr., które też zabrał. Na podstawie jednomyślnego werdyktu trybunał skazał Michała Korola na karę śmierci przez powieszenie.

* * *

Kraków 22 lutego.

(Styl socyalistyczny.)

Tutejszy trybunał sędziów przysięgłych roztrząsał skargę oskarżyciela prywatnego, p. Jana Madeja, wójta z Liszek, przeciw redaktorowi odpowiedzialnemu pisemka socyalistycznego *Prawo Ludu*, Wiktorowi Bałandzie, który w gazetce owej wyraził się o p. Madeju, „iż ma wielki brzuch a mały rozum" oraz zarzucał p. Madejowi, iż bezprawnie rozwiązał zgromadzenie socyalistyczne. Sędziowie przysięgli potwierdzili dziewięciu głosami pytanie w kierunku obrazy honoru, a trybunał skazał Wiktora Bałandę na dwa miesiące aresztu.

Część ekonomiczna.

Wiedeń, 22 lutego.

(Z) Bilans austryackiego Zakładu kredytowego zrobił nietylko u nas, ale także w Berlinie korzystne wrażenie. Obawiano się bowiem, że dywidenda będzie niższa, a jeżeli już dosięgnie 17 złr., to za to fundusz rezerwowy nie będzie zasilony i bardzo drobna kwota przeniesioną zostanie na rachunek bieżący. Tymczasem pokazało się, że jakkolwiek zysk z bieżących interesów zmalał, to za to powiększył się zysk z interesów konsorcyalnych i komandytowych, tak, że, i akcyonaryusze otrzymują po 17 złr. dywidendy i fundusz rezerwowy zasilony zostanie sumą ¼ milona i przeniesienie reszty zysku na rok bieżący jest mniej więcej normalne. Kontrmina berlińska kupowała więc dziś kredyty, skutkiem czego kurs ich znów się podniósł. Drugim korzystnym motywem, wpływającym dodatnio na tendencyę targu berlińskiego, a pośrednio i naszego, była wiadomość o pomyślnem zakończeniu rokowań o pożyczkę chińską, potrzebną na zapłatę Japonii ostatniej raty kontrybucyi wojennej. Interes ten robi grupa banków niemieckich i angielskich. Suma pożyczki wynosi 16 milionów funtów szterlingów.

Wreszcie i zwyżka konsoli angielskich oddziaływała korzystnie na wszystkie targi europejskie, gdyż była oznaką, że rozproszone już zostały obawy co do wybuchu konfliktu między Anglią a Francyą o posiadłości afrykańskie. Na naszym targu panował żwawy ruch w rentach, kredytach, akcyach tramwajowych i Statsbanach.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 363·50, węgierskie 381·—, Anglobanki 161·—, Unieny 301·—, Bankvereiny 265·25, Länderbanki 217·40, Ludwiki 213·75, Czerniowieckie 300·—, Elbethale 261·75, Renta papierowa 102·55, srebrna 102·55, austryacka złota 122·90, austr. renta wal. kor. 102·80, węgierska złota 122·25, węgierska renta wal. kor. 99·50, dukat 5·67, 20 frankówka 9·53—, marki 11·76—, ruble 1·27¼.

§ **Ceny zboża. Wiedeń** 22 lutego. Pszenica na wiosnę 11.94, żyto na wiosnę 8.95, owies na wiosnę 6.89, kukurudza na maj-czerwiec 5.65.

Wiedeń 23 lutego. Pszenica na wiosnę 11.92 do 11.94, żyto na wiosnę 8.94—8.95, owies na wiosnę 6.90—6.92, kukurudza 5.66—5.70. Spirytus 19.40—19.60.

Telegramy Przeglądu.

Czerniowce 23 lutego. Na wczorajszem posiedzeniu sejmu podczas debaty nad sprawozdaniem Wydziału krajowego o szkolnictwie, poseł Wolczyński przedstawił cały szereg postulatów językowych ludności rumuńskiej i ruskiej. Liberał niemiecki Tittinger bronił dzisiejszego stanu szkół na Bukowinie, dowodząc, że wykluczoną jest wszelka możliwość wynarodowienia Rumunów lub Rusinów przez Niemców, a wskazując na panujące w Czechach stosunki ostrzegał posłów, aby nie dali się porwać chwilowemi prądami.

Prezydent sądu krajowego Bourgignon podniósł, że konieczną jest rzeczą, aby administracya kraju o mięszanej ludności zwłaszcza na polu szkolnictwa była w całem tego słowa znaczeniu austryacką i stała na gruncie ustaw zasadniczych, które przyznają równouprawnienie wszystkim narodowościom. W dalszym toku wskazał mówca na potrzebę pielęgnowania języka niemieckiego w szkołach ludowych i średnich, bo bez tego języka nie byłyby możliwe studya uniwersyteckie dla dzieci tego kraju.

Po długiej debacie przyjął Sejm cały szereg rezolucyi w sprawie tworzenia szkół dla mniejszości, systemizowania krajowych inspektorów dla rumuńskich i ruskich szkół ludowych i średnich, utworzenia rumuńskich oddziałów równorzędnych przy gimnazyach w Czerniowcach i Suczawie, wprowadzenia nauki rumuńskiego i ruskiego języka w niemieckich szkołach średnich jako przedmiotu względnie obowiązkowego, tudzież utworzenia fakultetu medycznego na uniwersytecie w Czerniowcach.

P. Stefanowicz krytykował administracyę dóbr greeko-oryentalnego funduszu religijnego, a prezydent kraju przyrzekł zbadać te zarzuty i zaradzić złemu.

Paryż 24 lutego. Podczas wczorajszych demonstracyi, których widownią był Paryż po ogłoszeniu wyroku na Zolę, aresztowano 30 osób. Po spisaniu protokołu wypuszczono wszystkie na wolność, zatrzymano w więzieniu tylko jednego człowieka, który wołał „Precz z Francyą! Niech żyje Zola!"

Zola powrócił do mieszkania swego o godzinie ¾ na 12 w nocy. — Przez całą noc panował spokój w Paryżu. *Gaulois* donosi, że dziś odbędzie się w mieszkaniu adwokata Labori'ego konferencya co do tego, czy należy wnieść zażalenie nieważności do trybunału kasacyjnego. Podobno Zola nie chce dłużej wywoływać zaniepokojenia w opinii publicznej i dlatego woli odrazu pójść do więzienia, gdzie zamierza dokończyć nowej powieści.

Ateny 24 lutego. Parlament zwołano na 3 marca.

Singapore 24 lutego. Przybył tu wczoraj pancernik niemiecki „Gefion" a dziś przybył pancernik „Deutschland" z księciem Henrykiem na pokładzie. Kolonia niemiecka zgotowała księciu wspaniałe przyjęcie.

Petersburg 24 lutego. *Goniec urzędowy* ogłasza nominacyę profesora uniwersytetu moskiewskiego Bogolepowa zawiadowcą ministeryum oświaty.

Przyjechali dnia 24 lutego. Jul. ks Puzyna z familią z Narola. J. K. br. Hohendorff z Szutrominiec. W. Malczewski z Krakowa. J. Kaiser z Wiednia. D Marcus i J. S Zimmermann z Londynu. M. Łempicka z Krakowa. M. Bajewska z Międzyhorzec T Żurowski z Hawłowic. A. Rodakiewicz z Przemyśla. S. Rosicki z Schodnicy. G. Goldstein z Bytomia.

Przyjechali dnia 24 lutego. J. Kochanowski z Skolego. W. Zukerkandel z Złoczowa. J. Laney z Lyonu. A. Smarak z Bolechowa. J. Ingwer z Rzeszowa. S. Kornman z Germakówki. W. Malniowski z Janowa. M Doliga z Krakowa. W. Schimak z Wiednia. M. Schapira z Kossowa. M. Rabniowicz z Biały. M. Kalnicki z Wrocławia. W. Szymański z Wołynia.

Przyjechali dnia 24 lutego. H. Wagner z Passau (Prusy) B. Wierzchleyski z Kabarowic. Rotmistrz Szaszkiewicz z Czerniowiec. J. Hanisch z Berlina Porucznik Frauenberg z Żółkwi. W. Hans z Komańczy. P. Chrzanowski z Kurowic. J. Jonas, J. Stern, B. Lustig, K. Reinisch i J. Hack z Wiednia Porucznik Rotherman z Kamionki str. P. Dembiński z Krynicy.

NADESŁANE.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Składamy niniejszem za współczucie i udział w pogrzebie nieodżałowanego ś. p. męża i ojca naszego Władysława Lisowskiego, lustratora lasów rządowych nasze najserdeczniejsze podziękowanie Wielebnemu Duchowieństwu obu obrządków, przyjaciołom, kolegom, znajomym tudzież JWPanu nadradcy leśnictwa Alfredowi Rosenbergowi za dowody współczucia i prawdziwej życzliwości staropolskiem „Bóg zapłać".

Nadwórna w lutym 1898.

Rodzina Lisowskich.

Lwów 24 lutego. (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 212. - do 215.00 Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 300 — do 305.—. Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 373.— do 380.—. Akcye garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 200.— do 210. — Tow. budowy wagonów w Sanoku 263.— do —.—.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. galic, 5 proc. los. w 40 lat a 10 proc. prem 110.00 do 110.70 4 i pół proc. los. w 50 lat 100.00 do 100.70, 4 proc. los w 60 lat 96.50 do 97·20. Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat. 101.20 do 101.90, Banku kraj 4 proc. los. w 57 lat 98.00 do 98.70, Tow. kred. gal ziemskie 4 proc. (I emisya) 98 — do 98.70, 4 proc. los. w 48 i pół latach 97.30 do 98·—, 4 proc. los w 56 lat 97.10 do 97.80

Obligi za 100 zł.. Gal. fund. propinacyjnego 4 prc. 98·10—98·80, Bukowińskiego fund. propin 5 proc. 102·50 do —.—, Kom. Banku kraj 5 proc. (II emisyi) 100.30 do 101.00, Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 97.50 do —.—, Pożyczki kraj 6 proc. 103 do —.—. 4 proc. z 189[illegible] r. 97.80 do 98.50, 4 proc. po 200 koron z 1893 roku 96.30 do 97.00.

Monety. Dukat cesarski 5.62 do 5.72. Napoleondor 9.48 do 9.58. Półimperyał 9.48 do 9.53 Rubel rosyjski papierowy 127·20 do 128·20 100 marek niemieckich 58.60 do 59.10

Wiedeń 23 lutego. Notowania wieczorne Przy zamknięciu giełdy popołudniowej stały akcye kredytowe na 364.50, węgierskie akcye kredytowe 382·00, anglobanku 161·75, bankvereiny 266.00, unionbanku 302·00, laenderbanku 217·00, staatsbahny 338.25, lombardy 80.75, elbethale 263.00, akcye tytoniowe 134.25, rima 245·15, alpiny 150.40, renta majowa 102.60, renta koronowa węgierska 99.50, losy tureckie 58·78, marki 58.60, ruble 127.25

30)

Przygody francuskiego szlachcica

Z pamiętników Gastona de Bonne, sieur de Marsac

przez

STANLEYA WEYMANA.

Przełożyła z angielskiego Eugenia Żmijewska.

(Ciąg dalszy).

W izbie tej były trzy okna, jedno z nich tylko z szybami szklanemi, tamte woskowanym papierem zalepione; gliniana podłoga zarzucona była kielniami i szaflikami z wapnem; przy drzwiach stał drabant w szarym mundurze, taki sam, jak na dole, u stóp schodów. Drugi Szwajcar strzegł drzwi przeciwległych.

P. de Rambouillet przyłożył palec do ust, dając nam znak, abyśmy czekali w milczeniu. Drabanci stali przy drzwiach, podobni raczej do kamiennych posągów, niż do ludzi. Zastanawiałem się, po co tu stoją; wszak nie po to, aby strzedz tych kublów i szaflików? Wszystko to było dziwnie podejrzanem.

Nareszcie po krótkiej chwili drabant ustawiony przy drzwiach przeciwległych, jakby za naciśnięciem sprężyny, cofnął się w bok, drzwi po za nim otworzyły się i zamknęły natychmiast.

Na poddasze wszedł mężczyzna słusznego wzrostu, postawy wspaniałej, ubrany wedle ostatniej mody, w żupanik aksamitny fijoletowy, z czarnemi jedwabnemi wstawkami, głowę miał owiązaną turbanikiem niebieskim, szpada zwieszała mu się u boku, a na jedwabnej wstążce przez ramię czarka którą podrzucał w górę i łapał nią w locie kulę kościaną — była to podówczas ulubiona zabawka na dworze. Mógł mieć lat czterdzieści, choć wyglądał młodziej, bo miał twarz umalowaną, jak niewiasta.

— To musi być jeden z królewskich *mignons* pomyślałem, patrząc na niego z pogardą.

Zdziwiłem się też niemało, gdy p. de Rambouillet wystąpił naprzeciw niemu z wielkim szacunkiem, piórami od kapelusza zamiatając brudną podłogę i kłaniał mu się do ziemi prawie.

Nowoprzybyły oddał mu ukłon łaskawie.

— Więc przyprowadziłeś twojego przyjaciela? — zapytał.

— Tak, *sire*, oto jest — rzekł p. de Rambouillet, cofając się o parę kroków.

Zrozumiałem, że to nie żaden *mignon*, lecz król we własnej osobie. Henryk, trzeci z kolei, a ostatni ze słynnego rodu Walezyuszów, który z łaski Bożej przez dwa i pół stulecia rządził Francyą. Po raz pierwszy w swem życiu znajdowałem się wobec króla.

Tymczasem p. de Rosny, bardziej odemnie z majestatem oswojony, wystąpił naprzód i przyklękł na jedno kolano. Król podniósł go łaskawie.

— Sire — mówił mój towarzysz — nie masz wierniejszego sługi od mojego królewskiego pana i odemnie.

— Wierzymy ci, wierzymy — odparł król dobrotliwie a pomimo szminek i turbanu, był z niego majestat monarszy.

— Gdyby wasza królewska mość raczyła nie w tem jednem tylko dać mi wiarę, sądzę, że wyszłoby to na dobro Francyi.

Choć p. de Rosny przemawiał dworsko, w słowach jego było tyle pewności siebie i buty, że mimowoli przyszło mi na myśl stare przysłowie: „Dobry pan, śmiały sługa".

— Dlatego właśnie tu przyszliśmy, aby słowom waścinym dać ucha, choć doprawdy niewiadomo kto prawdę mówi a kto kłamie, bo jeden przeczy drugiemu.

— Ja o innych nie wiem, sire, sądzę jednak, że pan mój zasłużył sobie na wiarę i zaufanie Waszej Miłości — mówił p. de Rosny z wielką godnością i powagą. — Wszak i on jest królem, wszak i on kocha Francyę, dobra jej pragnie, to też serce mu się krwawi, gdy słyszy o buntownikach, ośmielających się występować przeciwko swemu miłościwemu panu.

— Przywódca ich już mi żadnego despektu czynić nie może — zawołał Henryk zapalając się gniewem na samo wspomnienie ks. de Guise. — Czy kuzyn mój słyszał już o tem?

— Tak sire, wieść ta doszła już do uszu mego pana.

— I cóż powiada? Czy mi słuszność przyznaje?

— Człowiek ten był niewątpliwie zdrajcą.— Nikt temu przeczyć nie śmie — odparł p. de Rosny wymijająco.

— To też za zdradę zapłacił — mówił król, wlepiając wzrok w ziemię. Chwilowe podniecanie ustąpiło. Wpadł w posępną zadumę. Usta mu drżały, zaczął bawić się kościaną kulą.

— P. de Guise, p. de Guise — szeptał wreszcie z drwiącą nienawiścią. Nie żyje już, a jeszcze mnie dręczy. Tyle mi krzywd wyrządził, a najgorszą jest, że mnie z Kościołem katolickim poróżnił. Księża unikają mnie, jak zapowietrzonego. Zostanę niebawem wyklęty. A jednak byłem wiernym synem tego Kościoła.

Zapomniał widocznie o obecności p. de Rosny i gotów już był, rozczulając się nad sobą, łzy ronić, gdy przypadkowo koniec szpady p. de Rambouillet brzęknął o ziemię. Król ocknął się, parę razy powiódł ręką po czole.

— Jakoś to będzie — rzekł — potrafimy złe zażegnać.

— Jeśli Wasza królewska Mość raczy przyjąć pomoc mojego pana, sądzę, że tem szybciej wszelkie trudności pokona.

— Tak sądzisz? — podchwycił Henryk. — Daj że mi ramię, przejdziemy się trochę.

Skinął na p. de Rambouillet, aby mu nie przeszkadzał i począł chodzić wzdłuż i wszerz z p. de Rosny, rozmawiając półgłosem. Dolatywały mnie tylko pojedyncze słowa, gdy się zbliżali do miejsca, gdzie stałem.

Pierwszym razem usłyszałem:

— „A więc Turenne proponuje..."

Następnie:

„Dlaczegożbym nie miał mu ufać. Obiecał..."

A potem:

„Republika?.. Taki ma plan, powiadasz? Nigdyby się nie ośmielił. Francya jest królestwem z woli Bożej...

Z tych skrawków rozmowy i innych, zrozumiałem, że p. de Rosny nalega na króla Francyi, aby przyjął pomoc króla Nawarry i że go ostrzega przeciwko podstępnym propozycyom Turenna. Wzmianka o republice oburzyła bardziej króla na p. de Rosny, iż śmiał o tem wspominać, niż na Turenne'a, iż się poważył taki plan uknuć. Henryk nie wierzył snać, aby to było prawdą.

— Dowiedź mi, że tak jest — rzekł, stając opodal odemnie — czy zdołasz przedstawić mi dowody? Pamiętaj, że byle jakich nie przyjmę. Jest tu zresztą wysłaniec Turenne'a i jego prawa ręka. Nie wiedziałeś o tem, co?

— Wasza królewska Mość mówi zapewne o p. de Brühl — odparł p. Rosny bez wahania.

— Tyś chyba szatan wcielony — rzekł Henryk, spoglądając na niego badawczo. — Wiesz dużo rzeczy, zapamiętaj to sobie jednak, że Turenne postępuje ze mną otwarcie i że trudno mi w zdradę jego uwierzyć, choćby mnie o niej twój pan zapewniał, jakkolwiek jestem do niego bardzo przywiązany.

— A on całą duszą do Waszej królewskiej Mości. Pragnąłby gorąco dowieść tego czynami.

— Tak, tak, wierzę w jego życzliwość. Ale moi stronnicy niechętnie patrzyliby na taki sojusz, a Turenne obiecuje wiele. I zdaje mi się — dodał, łapiąc kulę — zdaje mi się, że układ z nim byłby korzystniejszym dla mnie.

P. de Rosny cofnął się o parę kroków.

— Czy mogę z Waszą królewską Mością być otwartym — rzekł z mniejszym szacunkiem, lecz z większą stanowczością, niż dotąd — czy mogę prawiać, tak jak zwykłem do mojego pana?

— Mów — odparł Henryk, a zdało mi się że spoglądał na niego mniej przychylnie.

— A zatem ośmielę się wyrazić to, czego się Wasza królewska Mość obawia, a mianowicie: że przyjąwszy propozycye mojego pana, pokonawszy wrogów przy jego pomocy, nie tego mógłaby się Wasza królewska Mość sojusznika pozbyć.

Henryk odetchnął swobodniej.

— A choćby nawet tak było — rzekł z uśmiechem. — Chcesz się obawiał, że ów sojusznik, wzrośliszy w potęgę, zechce mojej władzy podkopać?

— Pozwolę sobie zwrócić uwagę Waszej królewskiej Mości — mówił p. de Rosny z wielką powagą — najprzód, że król Nawarry cieszy się popularnością w jednej trzeciej państwa zaledwie i że jest potężnym tylko w połączeniu z Wami, sire. Powtóre: w interesie jego leży popieranie władzy królewskiej, którą ma kiedyś odziedziczyć. Po trzecie, że bardziej przystoi Waszej królewskiej Mości przyjmować pomoc od bliskiego krewnego, niżli od zwyczajnego poddanego, który nadto zdradę knuje.

— Żądam na to dowodów — rzekł ostro Henryk.

— Za tydzień mogę je Waszej królewskiej Mości przedstawić.

— Niechże to nie będą czcze słowa — dodał król podejrzliwie.

— Wasza Królewska Mość dowie się o zamysłach Turenne'a od osoby, która o nich z ust jego własnych słyszała.

— Król spojrzał ze zdziwieniem.

— Dobrze — oświadczył — jeśli to sprawisz ja w zamian...

(Ciąg dalszy nastąpi)

Redaktor odpowiedzialny: Wacław Masłowski.

Papier z fabryki Śijałkowskich w Białej.

Drukarnia ... i Spółka hotel ... Zarządca W. Łodak.